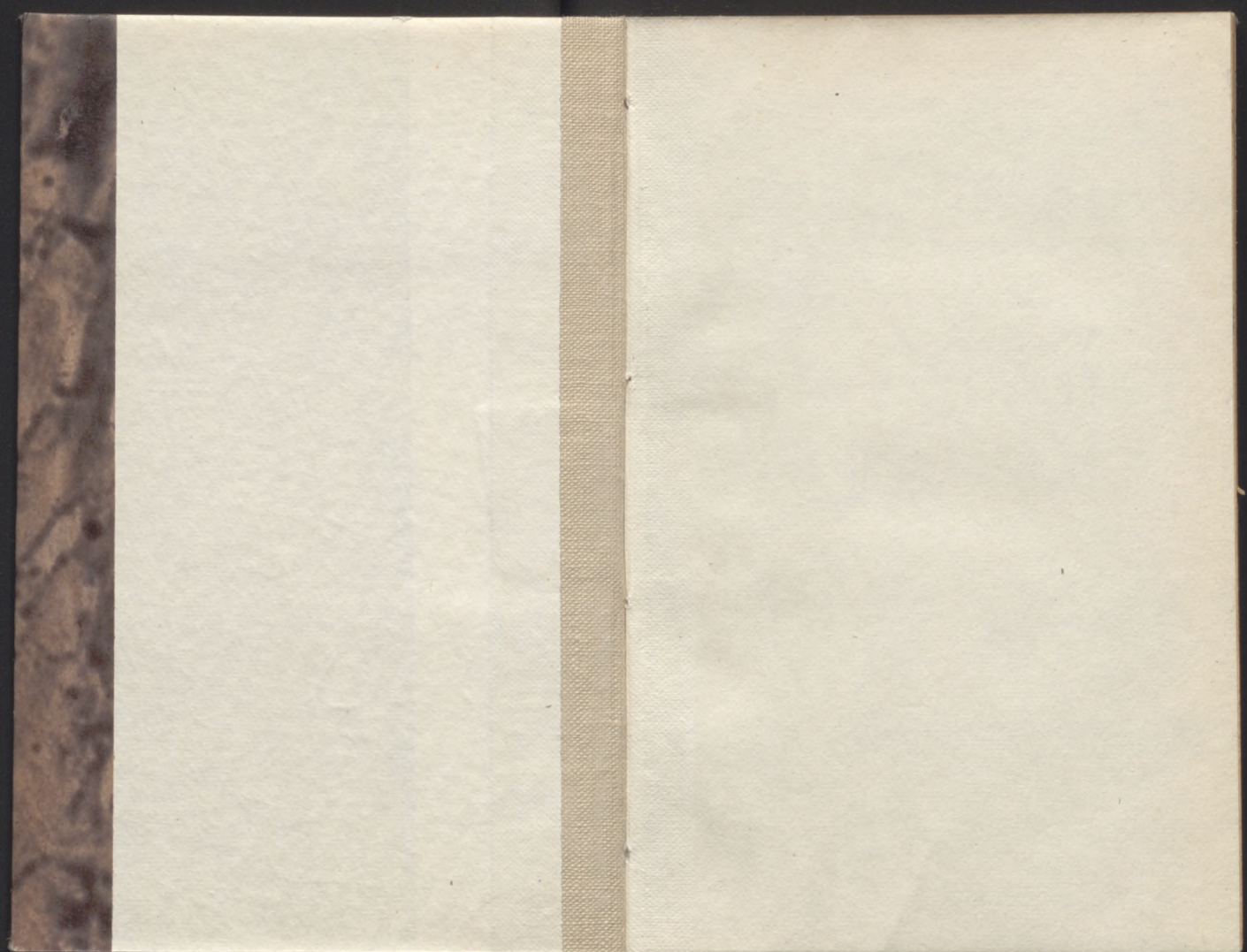


200

020



BIBLIOTEKA POWSZECHNA

266

Goethe.



EGMONT

tragedya.

Przełożył

Apolinary Ujejski.



Kazdy tomik mozna osobno nabyc.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



Biblioteka Powszechna

Każdy pojedynczy numer 24 h.

Każdy TOMIK można osobno nabyć.



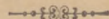
Dotychczas wyszły następujące numery:

- Mickiewicz, *Konrad Wallenrod.*
- 3. Franklin, *Druga do majątku.*
- Morgenbesser, *Zwycięstwo książki.*
- Grillparzer, *Klasztor pod Sandom.*
- Ibsen, *Upiory.*
- Zółkowski, *Anegdota i fraszki humor.*
- 9. Szekspir, *Romeo i Julia.*
- Stinde, *Mitus i Matus.*
- Zahajkiewicz, *Powinszowania* wyd. 3.
- Moliere, *Grzegorz Fafuta.*
- Chodźko, *Obrazy litewskie.* tom I.
- 15. Cicero, *Mowy przeciw Katylinie.*
- Maupassant, *Novelle.* t. I.
- Klonowicz, *Ziemia Czerwonej Rusi.*
- 19. Ibsen, *Wróg ludu.*
- Cyccero, *Mowa za prawem Maniliusz.*
- 1. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. I.
- 2. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. II.
- 3. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. III.
- 27. Goethe, *Faust.*
- 3. Temyson, *Enoch Arden.*
- 1. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. IV.
- 2. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. V.
- 1. Morawski, *Dworzec mego dziadka.*
- 2. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. VI.
- 3—34. Feldmann, *Jak w życiu.* Nowele.
- 5—38. M. M., *Czy mówisz po francusku?*
Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka francuskiego.
- 9—42. M. M., *Czy mówisz po niemiecku?*
Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka niemieckiego.
- 3. Chodźko, *Obrazy litewskie.* tom II.
- 4—45. Abrahamowicz i Zieliński, *Dobry Numer.* Komedya.
- 6—47. Pobratymiec, *Urzeczona.* Nowele.
- 8—49. St. Pierre, *Paweł i Wirginia.*
- 10. Cyccero, *Kato starszy.*
- 11. Cyccero, *Lelusz czyli o przyjaźni.*
- 12—53. Mantegazza, *Wiek nerwowy.*
- 54. Kaczorowski, *Poradnik dla tańców.*
- 15. Krasniński, *Nieboska komedya.*
- 56—57. Körner, *Zriny.* Tragedya.
- 58—60. Hofmanowa, *Dziennik Franciszki Krasnińskiej.* Powieść.
- 61—62. Szumski, *Victoria!* Powieść.
- 63. Wirgiliusz, *Bukoliki.*

- 64—65. Swift, *Podróże Gullivera.* t. I.
- 66. Byron, *Wiezien Czyllomu.*
- 67—68. Swift, *Podróże Gullivera.* t. II.
- 69—70. Brodziński, *O klasyczności i romantyczności.*
- 71—72. Grillparzer, *Matka rodu Dębratyskich.*
- 73. Syrokomla, *Urodzony Jan Deboróg.*
- 74—75. Lessing, *Natan Mędzrec.*
- 76—77. Fredro, *Zemsta.*
- 78. Fredro, *Pan Goldhab.*
- 79—80. Fredro, *Sługi panieńskie.*
- 81—82. Swift, *Podróże Gullivera.* t. III.
- 83—86. Rawita, *Błędne ogniki.* Powieść.
- 87. Halek, *Wieczorne pieśni.*
- 88. Cyccero, *Mowa za poetą Archidamem.*
- 89. Zacharyasiewicz, *Nieboszczyk w kłopotach.*
- 90. Krasniński, *Noc letnia.*
- 91—92. Fredro, *Damy i huzary.*
- 93—95. Krasniński, *Irydyon.*
- 96—98. Zipper, *Luźnia i miecz.* Powieść Szandora Petöfięgo.
- 99—100. Słowacki, *Balladyna.*
- 101. Korzeniowski, *Mnich.*
- 102. Korzeniowski, *Karpaczy Górski.*
- 103—104. Swift, *Podróże Gullivera.* t. IV.
- 105—106. Lermontow, *Księżniczka Marya.*
- 107. Urbański, *Z za kulisy i ze światła.* t. I.
- 108—111. Korzeniowski, *Kollokacya.*
- 112. Romanowski, *Dziewczę z Sycylii.*
- 113. Korzeniowski, *Pierwej mamce.*
- 114. Malezewski, *Marya.*
- 115—116. Walewski, *Hulaj duszo.*
- 117—120. Korzeniowski, *Spekulant.*
- 121. Goethe, *Ifigenia w Taurydzie.*
- 122. Urbański, *Z za kulisy i ze światła.* t. II.
- 123—128. Niedola, *Nibelungów.*
- 129—131. Rawita, *Bohaterowie życia.*
- 132. Gresset, *Vert-Vert* czyli *Spał klasztornego chowania.*
- 133—134. Korzeniowski, *Żydzi.* Komedya.
- 135—136. Kryczyński, *Zamek w górach.* z 3 ilustr.
- 137—138. Cyccero, *Mowa za S. Rozaszem z Ameryki.*
- 139—140. Fredro, *Pan Jowiński.* Powieść.

50
Biblioteka -
Rejestr 1364

GOETHE.



EGMONT

TRAGEDYA.

PRZEŁOŻYŁ

Apolinary Ujejski.



Złoczów.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.



020

1222454

K. 310/63

Jan Wolfgang Goethe, pierwszorzę-
dny geniusz piśmiennictwa nie tylko Niem-
ców, lecz i świata, urodził się we Frank-
furcie nad Menem 1749 r., żywot doczesny za-
kończył w Wejmarze 1832 r.

„Egmonta“ ukończył poeta we Włoszech
1787 r.

Apolinary z Rupniewa Ujejski, autor ninie-
szego przekładu „Egmonta“, zmarł we Lwowie
dnia 2. kwietnia 1895 r. „Biblioteka powszechna“
ogłosiła także inny przekład jego pióra,
mianowicie noweli Grillparzera „Klasztor pod
Sandomierzem“ (nr. 5.)

Redakcja „Bibl. powsz.“

OSOBY:

Małgorzata z Parmy, córka Karola V., regentka
Niderlandów.

Hrabia Egmont, książę Gaure.

Wilhelm, książę Orański.

Książę Alba.

Ferdynand, jego syn naturalny.

Machiavel, sekretarz regentki.

Ryszard, sekretarz Egmonta.

Sylwa,
Gomez, } Oficerowie Alby.

Klara, kochanka Egmonta.

Klary matka.

Brakenburg, młody mieszczanin.

Soest, kramarz

Jetter, krawiec

Cieśla

Mydlarz

} Obywatele Brukseli.

Buyk, żołnierz z armii Egmonta.

Ruysum, głuchy inwalid.

Vansen, pisarz pokątny.

Lud, orszaki, strażę, i t. d.

Rzecz dzieje się w Brukseli.

Akt I.

Strzelanie do celu. Żołnierz i mieszczanie z łukami.
Jetter, obywatel Brukseli, krawiec, występuje na-
przód i napina łuk.

Soest, obywatel Brukseli, kramarz.

Soest. Strzelajcież już raz, by dopełnić liczby.
Przecież mi tego nie zaprzeczycie: trzy razy
trafić w obręcz czarną, tak nigdy w życiu nie
strzelaliście. A więc na ten rok jestem mistrzem.

Jetter. Mistrzem i królem kurkowym zarazem,
któż wam tego zazdrości. W dwójnasób będzie-
cie nas dzisiaj częstować. Zręczność waszą godnie
opłacić musicie.

Buyk Holandczyk, żołnierz z armii Egmonta. *Jetter*,
pozwól, iż raz za ciebie strzełę, podzielim wy-
graną: częstuj tych panów, ja gościem tu i nie-
jedno za waszą dłużeń gościnność. Gdy jednak
spudłuję, twoja będzie szkoda.

Soest. Powiniennem się sprzeciwić, bo to z mo-
ją szkodą, ale dla was chętnie poniosę tę ofiarę.

Buyk strzela. Baczność, chłopaku! Trafiłem! raz!
dwa! trzy! cztery! —

Soest. Dzielnie, ha, niech będzie!

Wszyscy. Niech żyje król, niech żyje! *Wiwat!*

Buyk. Dziękuję wam, panowie, za nowy zaszczyt, lecz nie rad go przyjmuję, gdyż już dość często byłem mistrzem.

Jetter. Własnej zawdzięczacie to zrzeczności.

Ruysum Fryzyczyk, głuchy inwalid. Muszę wam powiedzieć...

Soest. Co powiadasz, stary?

Ruysum. Muszę wam powiedzieć, że strzela jak jego pan, strzela jak Egmont.

Buyk. Wobec niego ja tylko nędznym par-taczem. Hrabia Egmont trafia z strzelby jak pewnie nikt w świecie. I to nie tylko wtedy, gdy w wesołem usposobieniu, w humorze do strzelania, lecz zawsze o każdej dnia porze, skoro się złoży, bezwątpienia w czarne uderzy. Jam w jego szkole się uczył. Wielkim głupcem musiałby być ten, kto służąc pod nim niezgoby się nie nauczył. Ale nie zapominajmy o tem, moi panowie, że obowiązkiem króla, lud swój częstować. A więc, na koszt króla, hej wina tam!

Jetter. Umówiliśmy się, że każdy z nas...

Buyk. Ja tu obcy i dotegom król, nie zważam na wasze umowy i zwyczaje...

Jetter. Tyś gorszy od Hiszpanów. Ci nam dotychczas praw naszych i zwyczajów dotrzymują.

Ruysum. Co on mówi?

Soest głośno. Chce nas częstować, a nie chce, byśmy się składali a król tylko podwójną dał wkładkę.

Ruysum. Dozwólcie mu to, by go nie urazić. Wdał się w swego pana, ten także rad wszędzie hojnym się okazać i puszczać złoto jak wodę.

Wnoszą wino.

Wszyscy. Najjaśniejszego pana zdrowie!

Jetter do *Buyka* zwrócony. Rozumie się, że wasze tym Najjaśniejszym panem.

Buyk. Z serca wam dziękuję, jeśli już tak być musi.

Soest. Rozumie się, że wasze zdrowie, bo naszego hiszpańskiego monarchy zdrowie nie prędko od serca wypije Niderlandczyk.

Ruysum. Czyje?

Soest głośno. Filipa drugiego, króla Hiszpanii!

Ruysum. Naszego najmłodszejszego króla i pana zdrowie! Niech mu Bóg jak najdłuższych lat użyczy!

Soest. Czy nie bardziej lubiliście jego ojca Karola V.?

Ruysum. Niech go Bóg ma w swojej opiece. Ręka jego władata całą kulą ziemską, a możliwym i potężnym był ci on, jak żaden z monarchów, a mimo to, gdy zeszedł się z człowiekiem, to pozdrowił go uprzejmie jak sąsiad sąsiada. Złakłeś się na widok jego królewskiego majestatu — to spojrział na cię tak przychylnie — nie potrze-

buję wam mówić — rozumiecie mnie. Chodził pieszo, lub wyjeżdżał konno, jak mu do gustu przypadło, jednak zawsze z nielicznym dworem. To też płakaliśmy wszyscy, gdy rządy synowi oddawał — powiadam wam — ale wy mnie rozumiecie. Ten to już inny człowiek, więcej majestatyczny — pochmurny.

Jetter. Jak tu był, nie okazał się inaczej jak tylko w królewskim przepychu. Słyszę, mało mówiący.

Soest. Nie dla nas to pan. Nasi książęta muszą być weseli, i swobodni jak my jesteśmy. Muszą sami umieć żyć i drugim nie żałować życia. Jesteśmy wprawdzie dobroduszni i ulegli, nie znosim jednak pogardy ni ucisku.

Jetter. Mojem zdaniem król nasz byłby łaskawszym, gdyby miał lepszych doradców.

Soest. Przeczę temu. Nie ma on dla nas serca. — Umysł jego nie jest nam przychylny. Nie kocha on nas wcale, nie może też żądać, byśmy go nawzajem kochali. — Pytam was, dlaczego cały świat sprzyja hrabi Egmontowi, dlaczego nosilibyśmy go na rękach? Bo z ócz mu widać, że dobra naszego pragnie, a przychylnie i życzliwe serce jego ciągnęła radością i swobodą oddycha, bo niemaż nic w świecie tak drogiego, czemby się chętnie z bliźnim swym nie podzielił. Poczciwie serce jego nie rozważa nawet, czy proszący godny łaski jego lub

nie. Niech żyje hrabia Egmont! Buyk, wam należy wnieść pierwszy toast na pomyślność pana waszego, pijcież zdrowie Egmonta.

Buyk. Z całej duszy: Niech żyje hrabia Egmont!

Ruysum. Zwycięzca pod St. Quentin!

Buyk. Bohater z pod Gravelingen!

Wszyscy. Niech żyje!

Ruysum. St. Quentin to moja ostatnia bitwa. Ledwie laź już naprzód, ledwie mogłem udźwignąć ciężką strzelbę, a mimo to wyruszyłem w pole i wyłatałem Francuzom skórę. Na pożegnanie przestrzelono mi prawą nogę.

Buyk. Gravelingen! Przyjaciele, tam było gorąco! Świetne odnieśliśmy zwycięstwo. Ogniem i mieczem pustoszyli psubraty całą Flandryę. Zdaje mi się, żeśmy im dobrze dojechali. Ich stare wytrwałe chłopcy długo nam opór stawiali a myśmy napierali ze wszech stron, strzelali i cięli, że bledli ze strachu, że szeregi ich drżały. Pod Egmontem ubito konia, otoczono nas ze wszech stron, długo walczyliśmy, oko w oko, pierś przy piersi, koń przy koniu, garstka z garstką na długiej piaszczystej przestrzeni u wybrzeży morskich. W tem jakby z nieba spadło — doszedł uszu naszych od ujścia rzeki głuchy odgłos: bau, bau. — To huk armat, które w środek Francuzów waliły. Anglicy, pod wodzą admirała Malina sprawili Francuzom tę nie-

spodziankę. Wprawdzie niewiele nam pomogli, bo tylko najmniejszymi okrętami i to na znaczną odległość mogli się zbliżyć a często nawet w nas zamiast w Francuzów strzelali. W każdym razie skutkowała ta niespodzianka, podniosła męstwo nasze. Gdy w środek ścisniętego szeregu wpadła kula armatnia, powstawał popłoch i zamieszanie nie do opisania. Kule Anglików i nasze pałasze straszego narobiły bigosu. Okropnie było patrzeć, jak tu w nieładzie całe gromady ludzi w przedśmiertnych kurczach konały, ówdzie w wodę zepchnięte z nieubłaganym walczyły żywiołem. A urwisze ci, skoro tylko nieco wody nachleptali, topili się jak koty. Nam woda nie robiła różnicy, gdyż my równie dzielni na morzu jak na lądzie, miło jak żabom było nam w wodzie, biliśmy nieprzyjaciół i strzelali do nich, jak do kaczek. Resztę, której miecz nasz nie dosięgnął, podczas ucieczki wieśniaczki motykami i łopatami pozabijały. — Zaraz musiała francuska królewska mość łapkę do zgody podać i zawrzeć pokój. Pokój nam zawdzięczacie i wielkiemu Egmontowi.

Wszyscy. Niech żyje wielki Egmont, niech żyje! I jeszcze raz niech żyje! Niech żyje!

Jetter. O gdyby nam go byli dali za namiestnika zamiast Małgorzaty!

Soest. Nie mówcie tego. Prawda zawsze prawdą! Nie pozwolę, by o Małgorzacie źle mówio-

no. Teraz na mnie kolej: Niech żyje nasza miłościwa pani!

Wszyscy. Niech żyje!

Soest. Bogiem a prawdą dzielne kobiety z domu tego wychodzą! Niech żyje nasza regentka!

Jetter. Rozsądna ona i umiarkowana we wszystkim, co czyni, gdyby tylko tak zbyt silnie z duchownymi nie trzymała. Przecież po części i na nią spada wina, że czternaście nowych infuł do nas zawitało. Czegoż one u nas szukają? Dlaczegoż cudzoziemców na dobre posady forytować, na które myśmy z własnych kapituł krajowców wybierali. Wmawiają w nas, iż to w interesie religii się dzieje. Dosyć było nam trzech biskupów — za ich rządów było w kraju pobożnie i ucziwie. Dziś każdy z czternastu biskupów udawać musi, jakby był niezbędnie potrzebny, i z każdą chwilą wynika stąd tylko niepokój, kłótnia i niezgoda. A im więcej sprawę tę badasz i roztrząsasz, tem mętniejszą ci się wyda. Piją.

Soest. Ha! Taka wola królewska, regentka nie może nic z tego ni ująć ni dodać.

Jetter. I teraz zakazano nam czempredziej nowych psalmów spiewać, co w tak udatne ujęte są rymy, a przy tem budującą zawierają naukę. Psalmów spiewać niewolno, sprośne zaś piosaki, ile się komu podoba. Powiadają, iż psalmy zawierają kacerskie zasady. Istny fałsz. Naspiewa-

łem, się ich dosyć, odmienny w nich wprawdzie duch, jak w tych oklepanych śpiewach kościelnych, niczego w nich jednak nie widziałem złego.

Buyk. Właśnie chciałem was pytać, co tu u was słyhać — w naszej bowiem prowincyi śpiewamy, co komu się podoba. A to dla tego, że u nas hrabia Egmont namiestnikiem, a ten na takie drobnostki nie zważa. W Gandawie, w Ypern, w całej Flandryi, śpiewa nowe pieśni, kto tylko chce. Głośno. Cóż może być niewinniejszego jak pieśń kościelna, nieprawdaż, ojcze?

Ruysum. Rozumie się — zawsze to tylko ku chwale Boga i pokrzepieniu ducha...

Jetter. Lecz oni twierdzą, że nie w dobry sposób, nie na ich sposób my się modlimy, a przeto jest to rzeczą niebezpieczną dla zbawienia naszego. My też ustępując przewadze, zaniechaliśmy nowych obrzędów. Śiępacze inkwizycyi łażą jak émy i czyhają byleby kogo złowić w sieć. Niejeden też uczciwy i spokojny człowiek popadł już w nieszczęście. Brakuje jeszcze zupełnej niewoli, gwałcenia umysłów. Czyż nie dość, że niewolno mi czynić co chcę? nie pozwalają nawet bym myślał i śpiewał, co mi się podoba.

Soest. Niema tu czego u nas inkwizycya szukać, myśmy niestworzeni, byśmy dali nasze sumienie jak Hiszpanie tyranizować. Szlachta nasza powinna jej zawczasu skrzydła podciąć.

Jetter. Fatalnie! Jak tym kochanym pocziwcom do głowy wlezie, wpaść do mego domu i zastaną mnie siedzącego przy robocie, pomrukującego sobie od niechcenia pod nosem psalm francuski, wtedy jestem kaccerzem i zamykają mnie do nory. Albo wychodzę na ulicę i stoję z garstką ludu, co przysłuchuje się nowym nauczycielom z Niemiec przybyłym — już jestem rokoszaninem a głowie mojej biada! Czy słyszełicie kiedy nowych kaznodziej?

Soest. Dzielni ludzie. Onegdaj słyszałem jednego kazącego wobec wielu tysięcy ludzi, to był ci ścisk — nie taki jak gdy nasi księża na ambonie bębnią rękoma, brzęczą pod nosem, tu i ówdzie łacińskie wplatając frazesy, których nikt nie rozumie. Ten przeciwnie mówił dla każdego zrozumiałym językiem, dokładnie i otwarcie od serca i do serca. Okazał nam, jak nasi opiekunowie za nos nas wodzą, w nieświadomości i ciemnocie utrzymują i jakbyśmy więcej światła mieć mogli. Wszystkiego dowiódł nam z biblii.

Jetter. Musi być przeto w tem nieco prawdy. Ja tego samego zdania jestem, a to, o czem ksiądz ów prawił, długo po głowie mi się snuło.

Buyk. Cały lud z nabożeństwem ich słucha.

Soest. Nic dziwnego, skoro można od nich coś nowego i dobrego usłyszeć.

Jetter. I cóż ostatecznie zrobić im mogą! Trudno komu zabronić, iżby według swego sposobu widzenia i pojęcia nauczał.

Buyk. Raźniej, raźniej, moi panowie! Bałając zapominacie o winie i o księciu Orańskim.

Jetter. O tym nie zapominajmy! To wał obronny, za którym bezpiecznie ukryć się można. I czart z poza niego nasby nie wydostał. Wnoszę zdrowie księcia Orańskiego — niech żyje!

Wszyscy. Niech żyje, niech żyje!

Soest. No stary, wnieście i swoje zdrowie!

Ruysum. Niech żyją starzy żołnierze! Wszyscy żołnierze niech żyją! Niech żyje wojna!

Jetter. Wojna, wojna! Czy wiecie, co wymawiacie! Łatwo ustom waszym wyrzec to słowo, czemu się nie dziwię, boście żołnierzem byli, lecz jakie nas przytem przykre uczucie ogarnia, wypowiedzieć nie mogę. Jakież okropne uczucia tarabarów, dowiadywać się, iż tędy przeszła armia nieprzyjaciół, ówdzie poszła, ile tam poległo, ile ówdzie, jak się tłoczą jeden na drugiego, wypierają wzajemnie, jeden zwycięża, drugi klęskę ponosi, żaden jutra odgadnąć nie może, ni pojąć co traci lub zyskuje. Niczego nie słyszeć prócz tego, że to lub owe miasto zajęte, mieszkańcy wymordowani lub w niewolę wzięci i wśród tych okropnych wieści drżeć o los drogich sercu naszymu żon, dzieci, krewnych i przy-

jaciół. Myśl o tych okropnościach odbiera człeku spokój i swobodę, gdyż nęka go niepewność, ażali i tu nie wtargną i z nami tak nie postąpią.

Soest. Dlatego powinien każdy obywatel bronią dobrze władać.

Jetter. No pewnie, mając żonę i dzieci jest czas potemu w broni się ćwiczyć. Co do mnie, nie chcę być żołnierzem i wolę słyszeć o wojsku jak je widzieć.

Buyk. Powiniennem się obrazić.

Jetter. Nie do was jam to stosował, rodaku. Skoro pozbyliśmy się hiszpańskiej załogi, odetchnęliśmy znowu.

Soest. A cóż to ci ona tyle dokuczyla?

Jetter. Pilnuj swego nosa.

Soest. Bezwątpienia przykre u ciebie mieli mieszkanie.

Jetter. Stul głębę.

Soest. Wypędzili go z kuchni, piwnicy, pokoju i łóżka. Wszyscy się śmieją.

Jetter. Błaznem jesteś, nieprawda.

Buyk. Uciszcie się, panowie! Czy żołnierz ma być między wami rozjemcą? Kiedy nie chcecie o nas słyszeć, to pijcie swoje zdrowie. Piję zdrowie obywateli! Mieszczan!

Jetter. Myśmy nie od tego! Bezpieczeństwo i pokój!

Soest. Wolność i porządek!

Jetter. Dobrze, i my się z tem zgadzamy. Uderzają w kubki i wesoło powtarzają każdy inne słowo. Stary przystuchuje się, powstaje i wnosi toast.

Wszyscy. Bezpieczeństwo i pokój, wolność i porządek!

Pałac regentki.

Malgorzata z Parmy w myśliwskim stroju, dworzanie, paziowie, służba.

Regentka. Proszę odwołać polowanie, nie wyjadę konno. Powiedz Machiawelowi, iżby do mnie przyszedł. Wszyscy odchodzą. Myśl o tych strasznych zdarzeniach odejmuje mi wszelki spokój i swobodę. Nic mnie rozweselić, nic rozerwać nie może, nieustannie otaczają mnie przerażające wyobrażenia, nie ustępują ni na chwilę troski. Niezawodnie powie król, iż to są skutki mej łagodności, mego pobłażania, a przecież powtarza mi ciągle sumienie, że czyniłam wszystko, co mi się wydawało najlepszem i najstosowniejszem. Czyż pierwiej już miałam burzę srogości roztląć i rozprzestrzenić te płomienie? Zdawało się, że mi się uda ograniczyć je i stłumić. Lecz co sobie sama powiadam, usprawiedliwia mnie tylko przed własnem sumieniem, jak jednak na to zapatrywać się będzie brat mój? Zaprzeczyć się nie da, iż daleko zaszło. Z dniem każdym rosła pycha

tej nowej nauki. — Zwolennicy jej znieważali nasze kościoły, obałamucali prosty lud i tchnieniem obłędu owiali cały naród. Ludzie najgorszych skłonności narzucili się za przewodców nowego ruchu, popełniono okropne czyny, o których myślę z obrzydzeniem, a które szczegółowo dworowi opisać muszę i to natychmiast i z wszelką dokładnością, aby mnie u monarchy stugębna nie prześcigała fama, i aby nie posadzał mnie, iż chcę cokolwiek ukryć lub zataić. Nie widzę żadnego środka ni srogiego ni łagodnego, któryby zdołał złe ukrócić i do szczętu wyplenić.

Machiawel wchodzi.

Regentka. Czy listy do króla już gotowe?

Machiawel. Za godzinę przyniosę wam je do podpisu.

Regentka. Czy sprawozdanie twe dość obszerne?

Machiawel. Obszerne i wyczerpujące jak je monarcha wymaga. Donoszę w niem, jak najpierw w St. Omer wybuchł szal obrazoburczy. Jak bezmyślna tłuszcza uzbrojona w kije, budygany, młoty, drabiny i sznury w połączeniu z małą liczbą tych, co mieli broń palną lub sieczną, najpierw napada na kaplice, kościoły i klasztory, pobożnych rozpędza, podwoje rozbija, ołtarze świętokradzką ręką znieważa, statuy świętych w proch obala i kruszy, obrazy niszczy, wszystko, co święte i poświęcane, w pochodzie swym rozbija, rozdziera i depeze. Jak powoli

łtun ten się wzmaga a mieszkańcy miasta Ypern bramy swe im otwierają. Jak tam z niesłychaną szybkością wszystko, co święte, pustoszą, tum starożytny w gruzu obalają, a w obłądziej wandalskim nawet bibliotekę biskupią palą. Jak wielka liczba ludu podobnym bezrozumem uniesiona, swe niszczące szlaki do miast Menin, Comines, Verwich i Lille zapędza — nigdzie oporu nie znajduje i jak w całej Flandryi w jednej prawie chwili ten szalony rokosz wicherzy, wybucha i panuje.

Regentka. Ach, słysząc z ust twych historję tych smutnych zdarzeń, na nowo boleść mnie porywa, przestrach przejmuję, skoro pomyślę, że zło to coraz bardziej wzrastać będzie. Powiedz mi, Machiawelu, czy i ty tak sądzisz?

Machiawel. Obawiam się, iżby Waszej księżęcej Mości zdanie moje nie wydało się przesadnym. Jakkolwiek zawsze z usług moich byliście zadowoleni, jednak rzadko tylko słuście za moją radą. Mówiliście zazwyczaj: „Za daleko wzrok twój sięga Machiawelu! Powinieneś być dziejopisem, kto zaś działa, tego najbliższe sprawy obchodzą.“ A mimo to, czy nie przepowiadałem wam tych zdarzeń, czy nie przewidywałem ich zawsze?

Regentka. Ja także wiele przewiduję, a jednak tego zmienić nie mogę.

Machiawel. Otóż gdy mnie pytacie, krótko odpowiem. Nauk nowych nie słłumicie. Niechże więc istnieją. Oddzielcie prawowiernych od wyznawców nowej religii, pozwólcie nowatorom wybudować świątynie, wcielcie ich w organizm państwa, ograniczajcie wedle możności a tak jedynym zamachem słłumicie rokosz. Każdy inny środek jest daremny i zniszczy tylko kraj.

Regentka. Czy zapomniałeś już, z jakim wstrętem król odpowiedział na nasze zapytanie, czy nowe nauki cierpieć można? Czyż nie wiesz, iż mi w każdym liście jak najgoręcej zaleca, bym stała na straży dawnej wiary? Twierdzi, iż nie chce kosztem religii okupywać pokoju i jedności tych prowincyi. Czyż nie utrzymuje w całym kraju tajnych szpiegów, których my nawet nie znamy, aby się wywiedzieć, kto się skłania ku nowym naukom? Czyż ku podziwieniu naszemu nie wskazał nam tych i owych, którzy nas w dzień otaczają, jako tajemnych kacerzy — czyż nie nakazuje srogość i bezwzględność w postępowaniu naszym? A ja miałabym być łagodną, królowi proponować, iżby był pobłażliwym i cierpliwym? Czyż nie utraciłabym u niego wszelką wiarę i zaufanie?

Machiawel. Wiem o tem dobrze. Król wydaje rozkazy, poucza was o swych zamysłach. Pokój i zgodę przywrócić macie za pomocą środków, które umysły jeszcze bardziej rozjątrzą i które

nieodzwonne wywołają na wszystkich krańcach straszną wojnę. Rozważcie, co czynicie. Najznakomitsi z kupców, szlachty i wojskowych przejęci są nową nauką. Cóż pomoże oporem stać, wyznawać i wykonywać zastarzałe zasady, kierować się wedle dawnych pojęć, skoro z każdą chwilą wszystko około nas podlega zmianom? Oby dobry duch Filipa natchnął i pouczył go, że bardziej przystoi monarsze, obywateli dwóch wyznań religijnych pod berłem swem jednoczyć, niżli używać jednych jako narzędzia do wytępienia drugich!

Regentka. Na przyszłość nie przemawiaj nigdy do mnie takimi słowy. Wiem to dobrze, że względy polityczne rzadko zgadzają się z przywiązaniem i wiarą, polityka z serc naszych wyklucza otwartość, dobroć i pobłażliwość. W sprawach dotyczących ludzi i świata jest to niestety niezbitą prawdą. Lecz czy godzi się, iżbyśmy ludzie igrali z Bogiem, jak między sobą igramy. Mamyż być obojętnymi dla naszej prawowitej religii, którą tyle ofiar uświęciło, ponosząc krwawą śmierć męczeńską? Mamyż więc tych uświęconych nauk, krwią stwierdzonych zasad wyrzec się dla jakichś niepewnych, sprzecznych nowości, co się do nas Bóg wie skąd zabląkały?

Machiawel. Nie sądzicie o mnie źle, iżem innego był zdania.

Regentka. Znam ciebie i twoją wierność cenię.

Wiem także o tem, iż można być uczciwym i rozumnym człkiem, jakkolwiek się z najbliższej drogi do zbawienia duszy zoczyło. Jeszcze są inni prócz ciebie, których poważam, a mimo to ganić muszę.

Machiawel. Kogoż macie na myśli?

Regentka. Wyznać muszę, iż mi dziś Egmont wielkie zmartwienie sprawił.

Machiawel. Czem? jeśli pytać wolno.

Regentka. Zwykłą swą obojętnością i lekko-myślnością. Otrzymałam zatrważające wieści właśnie w chwili, gdy z nim i z innymi panami wracała z kościoła. Nie mogłam powstrzymać żalu mego, wyrzekałam głośno, a zwracając się ku niemu, powiedziałam: Patrzcie i czytajcie hrabio, co się w waszej prowincyi dzieje! A wy, któremu król zupełnie zaufał, znosicie bezkarnie podobne nadużycia, gwałty i zbrodnie?

Machiawel. Cóż Egmont na to?

Regentka. Jak gdyby to niczem, jak gdyby tylko rzeczą małej wagi było, odpowiedział: Skoro król Niderlandom zapewni dawne przywileje, reszta da się łatwo zagodzić.

Machiawel. Więcej w tych słowach otwartości i prawdy jak dyplomatycznego rozsądku i poszanowania dla istniejącej religii. Cóż działa król, iżby wzbudzić i utrwalić zaufanie swego ludu? Lud niderlandzki jasno widzi, iż monarsze więcej o zatrzymanie swych dziedzicznych

posiadłości i dóbr koronnych chodzi aniżeli o dobro kraju i zbawienie dusz! Nowi biskupi więcej spożyli pobożnych a rentownych fundacyi aniżeli dusz niebu przysporzyli. A nie sąż to sami przybysze? Wprawdzie obecnie jeszcze wszystkie posady namiestników obsadzone krajowcami — lecz czy Hiszpanie nie okazują jawnie, iż pałają nienasyconą chciwością i żądzą objęcia i tych posad? Każdy naród chce być rządzonym według swych ojczystych zwyczajów, przez własnych rodaków, nie zaś od obcych, którzy najpierw kosztem ogółu majątki zbijając zwykli i obcemi kierując się zasadami, sami bez podziału władzy rządzić chcą.

Regentka. Stanąłeś po stronie przeciwników.

Machiawel. Sercem pewnie nie — a gdybym mógł, stanąłbym i rozumem po stronie dworu.

Regentka. Więc według twego zdania powinien im odstąpić rządy. Egmont i księżę Orański zawsze rościli sobie prawa do tej posady. Lecz wówczas byli nieprzyjaciółmi, obecnie przeciw mnie się złączyli, stali się wiernymi przyjaciółmi.

Machiawel. Niebezpieczna to para.

Regentka. Jeśli mam ci otwarcie powiedzieć, to lękam się księcia Orańskiego, a lękam o Egmonta. Księżę Orański niczego dobrego na myśli nie ma, zamiary jego sięgają w dal, skryty, na pozór uległy, nie sprzeciwia się nigdy a mimo to za-

pniewiając o swym najgłębszym szacunku, pełen ostrożności czyni, co mu się tylko podoba.

Machiawel. A zupełnie przeciwnie zachowuje się Egmont. Idzie on prostą drogą, nie zważając na nikogo, jak gdyby świat cały do niego należał.

Regentka. Czoło swe tak wyniosłe nosi, jak gdyby nad nim nie unosiła się wszechwładna ręka króla.

Machiawel. Cały naród patrzy na niego, poważa go i ubóstwia.

Regentka. Postępuje tak niezależnie, na nikogo się nie oglądając, jak gdyby nie było tego na ziemi, któremu przysłuża prawo żądania od niego rachunku i usprawiedliwienia. Dumny z imienia swego, cieszy się niem, cieszy się, iż go zwą hrabią Egmontem. Zwie się hrabią Egmontem i tem chce okazać, iż nie zapomina, że przodkowie jego byli panami Gandawy. Dlaczego nie zwie się księciem Gaurei, kiedy mu ten tytuł się należy? Chciałżeby zgąste prawa napowrót ważnemi uczynić?

Machiawel. Mam go za wiernego sługę króla.

Regentka. Gdyby tylko zechciał, jakież nieocenione usługi mógłby królowi wyświadczyć! Miasto tego na zgubę swą własną sprawia mu tylko niewymowne przykrości. Zebrania, uczty i biesiady, które daje, bardziej zjednoczyły i zespoliły szlachtę, jak najniebezpieczniejsze, tajne

spiski. Zdrowia, które tam wychylają, napoiły gości nieustającym obiedem — szalem, który nie zna wytrzeźwienia. Nieustannymi wybrykami zwraca całą uwagę ludu na siebie, żarty jego poruszają umysły. Obecnie przykład ze zdziwieniem przypatruje się ten lud nowym liberyom i odznakom, jakimi przebrał liczną swą służbę.

Machiawel. Przekonany jestem, że nie z umyśłu to uczynił i żadnego zamiaru z tem nie łączy.

Regentka. Zawsze jednak źle uczynił. Jak mówię, on szkodzi nam, a sobie nie pomaga. Wysztycha to, co jest poważaniem, a my, żeby nie okazać naszej opieszałości, musimy pusty śmiech jego i niewczesne żarty brać na seryo. Surowość nasza zamiast poskromić swawolne wybryki jego, podnieca i zagrzewa go tylko do nowych. Lecz skutek tego smutny, gdyż to, com odwrócić rada, nieodzownie nastąpić musi. Niebezpieczniejszym on, niżeli wszyscy ci, o których wiemy, że się sprzyśegli, a wcale się nie myślę, sądząc, że dwór na wszystkie wybryki jego baczne oko zwraca. Otwarcie ci powiadam, że od jakiegoś czasu postępowanie Egmonta wielki, bardzo wielki smutek i politowanie u mnie wywołuje.

Machiawel. Zdaniem mojem wszystko, co Egmont czyni, jest tego rodzaju, iż sumienie jego żadnych wyrzutów mu nie sprawia.

Regentka. Sumienie jego w złudnem przegląda się zwierciadle — niczego mu nie wyrzuca, owszem schlebia mu. Postępowanie jego jest często obrażające. Zachowuje się, jak gdyby miał przekonanie, iż on jest tu władcą i tylko z uprzejmości nie chce dać nam tego uczuć; że zaś nas dotychczas z kraju nie wypędził, to jedynie dlatego, że zdaje się być zdania, iż to samo przez się nastąpić musi.

Machiawel. Proszę was, nie poczytujcie otwartości Egmonta, jego wesołego usposobienia, które wszystko lekko traktować zwykło, jako tak niebezpiecznych i zdróżnych znamion charakteru jego. Tem tylko sobie i jemu szkodzicie.

Regentka. Nie przesądzam, lecz mówię tylko o nieuniknionych następstwach, a Egmonta znam dokładnie. Duma na szlachectwo niderlandzkie, na order złotego runa, co piersi jego, zdobi, pokrzepia odwagę jego i zaufanie w własną potęgę. Lecz ani godność szlachecka ani złotego runa ozdoby nie są w stanie ochronić go od nagłego, dowolnego gniewu monarchy. Pomyśl rozważnie, a będziesz musiał przyznać, iż całe nieszczęście, które obecnie Flandryę dotknęło, on jedynie spowodował. On pierwszy pobłażał nowym apostołom, nie zwracał na ich nauki, jak to był powinien, należyj uwagi, a może nawet cieszył się w duszy, że nam tyle nieprzyjemności narabia. Bez ogródki, otwarcie, wszystko, co mi na sercu ciąży, przy tej

sposobności w oczy mu wypowiem, nie na wiatr wypuszczę strzałę — znam jego słabą stronę, ugodzę w nią boleśnie, choćym go zranić miała.

Machiawel. Powołaliście Radę stanu? Książę Orański czy przybędzie także?

Regentka. Posłałam po niego do Antwerpii. — Cały ciężar odpowiedzialności na nich zsunę — pozostaną im więc tylko dwie drogi: albo wspólnie ze mną szczerze działać i wszelkich starań dołożyć ku poskromieniu złego, albo też okazać się jawnymi rokoszanami. — Spiesz się z wygotowaniem listów, które mi bezzwłocznie do podpisu przyniesiesz. Wyślij także natychmiast do Madrytu pocziwego Waska, na którego wierność i szybkość liczyć można, iżby brat mój pierwiej z ust jego usłyszał szczegóły rozruchów, nim je wieść do uszu jego doniesie. Nim się w drogę uda, chcę z nim jeszcze sama pomówić.

Machiawel. Rozkazy wasze natychmiast z wszelką dokładnością wypełnię.

Dom mieszczkański.

Klara, matka Klary, Brakenburg.

Klara. Nie potrzymasz mi tych nici?

Brakenburg. Klaro, proszę cię, miej litość nademną.

Klara. Cóż ci to? Dlaczego odmawiasz mi tej małej miłosnej usługi?

Brakenburg. Dla mnie nielada męczarnia trzymać ci nici, wówczas patrzeć muszę w twe oczy i żal ściska mi serce.

Klara. Przywidzenie. — Nie bądź dzieckiem, pójdź i potrzymaj mi.

Matka siedzi w krześle z robotą w ręku. Zaśpiewaj, Klaro, Brakenburg tak pięknie wtóruje. Zwykle byłeś wesół i nieraz dobrze się uśmieiałam.

Brakenburg. Zwykle.

Klara. Śpiewajmy.

Brakenburg. Jak ci się podoba.

Klara. Tylko pięknie, wesóło, ochoczo. Oto żołnierska piosnka — ulubiona moja nuta. Zwijsz nici i śpiewa wraz z Brakenburgiem.

Już głos trąbki z błoni
Rozlega się w dal,
Mój luby w szeregach,
Ustrojony w stal,
Lancę trzyma w dłoni
I pancierz go chroni.
Serce w piersi bije -
Główkę owiał szął!
Gdyby mi kto kaftan
I kapelusz dał...!
O! Szłabym bez trwogi,
Kędy luby mój,
Przez wszystkie krainy,

Nawet w krwawy bój.
Za szerokie morze
Pierzchnie na strzał wróg!
O czemuże chłopcem
Nie stworzył mnie Bóg!

Brakenburg podczas spiewu często na Klarę spogląda, ku końcowi głoś mu zamiera, oczy łzami zachodzą, opuszcza kłębek i idzie do okna. Klara kończy piosnkę sama. Matka niezadowolona daje Klarze znaki, która wstaje, zbliża się do Brakenburga, wraca jednak niezdecydowana i napowrót siada.

Matka. Brakenburg, co słychać na ulicy? Zdaje mi się, że wojsko idzie.

Brakenburg. Straż przyboczna regentki.

Klara. O tej godzinie? co to ma znaczyć? wstaje i zbliża się do okna, przez które Brakenburg patrzy. To niezwykła straż — daleko więcej! Całe tłumy. Brakenburg, pójdźże i zobacz, co się stało! Musi być w tem coś nadzwyczajnego. Pójdź, pójdź, drogi Brakenburgu, wyświadcź mi tę grzeczność!

Brakenburg. Idę! Za chwilę jestem tu z powrotem. Odchodząc podaje jej rękę — ona podaje mu swoją.

Matka. Znowuś go wysłała.

Klara. Jestem ciekawą, a zresztą, nie gniewaj się, matko, powiem ci szczerze — obecność jego przykrość mi sprawia. Nigdy nie wiem, jak się mam wobec niego zachować. Wiem, że mu krzywdę wyrządzam, a najbardziej boli mnie, iż ona go tak żywo dotyka. Chciałabym, lecz nie mogę tego odmienić.

Matka. Wierny to chłopak.

Klara. Tego mu nie ujmuję i dlatego po przyjacielsku chcę z nim postępować. — Nieraz wymknie mi się szczerze uściśnienie, gdy dłoń jego tak lubo i serdecznie rękę mą ujmie. Często czynię sobie wyrzuty, iż go oszukuję, że w sercu jego podniecam próżną nadzieję. O boli mnie to prawdziwie. Lecz Bóg mym świadkiem, ja go nie zwodzę, nie chciałabym, by jakąkolwiek żywił nadzieję, a przecież nie mogę dopuścić, iżby skutkiem zwątpienia zrozpaczył.

Matka. Źle czynisz.

Klara. Lubiłam go i jestem mu zawsze w duszy rada. Mogłam pójść za niego, lecz zdaje mi się, iżem go nigdy nie kochała.

Matka. W pożyciu z nim znalazłabyś szczęście.

Klara. Byt mój byłby zapewniony, mogłabym spokojnie żyć.

Matka. Z własnej winy postradasz to wszystko.

Klara. W dziwnem jestem położeniu. Kiedy rozmyślałam nad przeszłością, to zaprawdę wiem i nie wiem, jak to nastąpiło. Lecz skoro tylko zobaczę Egmonta, staje mi się wszystko zupełnie zrozumiałem, koniecznem, zdaje mi się, iż tak a nie inaczej stać się musiało. Bo jaki dzielny mąż to, bohater! Cały kraj go ubóstwia, a ja w jego objęciach czyż nie miałabym być najszczęśliwszą istotą na świecie!

Matka. Ale czy nią będziesz później?

Klara. O tem nie myślę, ja pytam tylko, czy Egmont mnie kocha. A możnaż go o to pytać?

Matka. Ach, z dziećmi to ciągle tylko zgryzoty! Jakże to się skończy? Trwoga i niepokój mnie przejmują. O nie, nie, to nie może się dobrze skończyć. Tyś siebie i mnie uczyniła nieszczęśliwemi.

Klara z spokojem. Z początku samaś się zgadzała.

Matka. Niestety — byłaś za dobrą — jam zawsze za dobrą...

Klara. Kiedy Egmont ulicą przejeżdżał a jam do okna biegła, by go ujrzeć, czyżeś mi to ganiła? Nie przystępowałaś sama do okna? A kiedy spojrział w górę, uśmiechnął się, ręką skinął, mnie pozdrowił, czy nie byłaś temu rada? Nie uważałaś się szczęściem córki szczęśliwą?

Matka. I ty mi jeszcze wyrzuty czynisz?

Klara wzruszona. A jeśli częściej ulicą przechodził, czyżeś nie mówiła mi sama z ukrytą radością, iż on dla mnie drogi nakłada? Czyżeś mi broniła, gdym stała u okna oczekując go?

Matka. Mogłażem przypuszczać, że do tego przyjdzie?

Klara przytłumionym głosem, wstrzymując łzy do ócz się cisnące. A kiedy wieczorem owinięty płaszczem przy świetle lampy wszedł niespodzianie, kto nieustannie i skwapliwie krzątał się około jego

przyjęcia, podczas gdy ja jak przykuta, pełna podziwu, ruszyć nie śmiała się z miejsca?

Matka. Mogłażem się obawiać, iż ta nieszczęsna miłość rozsądną Klarę tak szybko uniesie? A teraz? Doczekałam się, że moja córka jest...

Klara wybuchając płaczem. Maszże w tem przyjemność dręcząc mnie?

Matka płacząc. Teraz płacz i narzekaj, czyż mi nie nieszczęśliwszą jeszcze twym smutkiem! Czyż nie dosyć mi zgryzoty, że moja jedyna córka jest niegodną istotą?

Klara powstając z godnością. Niegodną? Egmonta kochanka niegodną? Któraż z cór księżęcych nie pozazdrościłaby mi miłości Egmonta! O matko — moja matko — nigdyś w ten sposób do mnie nie przemawiała. Droga matko, nie wyzuwaj się z dobroci! Niech ludzie co chcą mówią, niech sąsiadki szepczą, co się im podoba — ta izba, ten domek, pełnym rozkoszy rajem, od czasu jak miłość Egmonta w tych murach gości.

Matka. Radzi mu być musimy. — Tak, to prawda, on zawsze dla nas tak uprzejmy, otwarty i szczerzy.

Klara. I cienia fałszu w nim niema. On, ów wielki, sławny Egmont, kiedy do mnie przyjdzie, jakże lubym i dobrym jest, jak radby męstwo swe, sławę i wysokie stanowisko ukryć, a mną tylko zajęty, zapomina o wszystkim i jest tylko człowiekiem, przyjacielem, kochankiem.

Matka. Czy i dziś ma przyjść?

Klara. Nie widzisz, matko, iż podchodzę do okna, nie uważałaś, iż za każdym szelestem u drzwi podstuchuję. Wiem, że przed wieczorem nie przyjdzie, a jednak spodziewam się go każdej chwili, od brzasku dnia. O gdybym była mężczyzną i mogła mu zawsze towarzyszyć w czasie pokoju i na wojnie, w bitwie z sztandarem go wyprzedzić!

Matka. Ty zawsze byłaś roztrzępaną, dzieckiem jeszcze to rozpustną, to zamysłoną. — Czy nie przebierzesz się trochę staranniej?

Klara. Może, jeśli mi się nudzić będzie. Wczoraj, wyobraź sobie, matko, słyszałam na ulicy służbę Egmonta śpiewającą piosnki na cześć jego. Słyszałam, iż imię jego w tych piosnkach wspomniano, reszty słów zrozumieć nie mogłam. Ledwie ukoić zdołałam bijące z radości serce w memłonie — a gdyby nie wstyd, radabym była tych ludzi przywołała i prosiła, iżby dalej śpiewali.

Matka. Miej się na baczności. Twoje niespokojne usposobienie może wszystko zepsuć — może cię zdradzić przed światem. Onegdaj na przykład, gdyśmy u wuja były, a tyś spostrzegła drzeworyt, zawołałaś z namiętnym okrzykiem: Hrabia Egmont! Jakby piorunem rażona omal nie spłonęłam cała.

Klara. Nie miałamże głośno zawołać? Obraz przedstawiał bitwę pod Grawelingen. U góry

znajduję literę C, pod spodem zaś objaśnienie: „Hrabia Egmont, pod którym konia abito.“ Zrazu zimny dreszcz mnie przejął, później jednak śmiać się musiałam z namalowanego Egmonta, który tak wielkim był jak wieża miasta Grawelingen, a tuż przy nim stały okręty Anglików. Pierwej inaczej przedstawiałam sobie bitwę. Kiedy małą dziewczyną przysłuchiwałam się, jak o hrabi Egmoncie i o innych sławnych mężach mówiono, inne, odmienne pojęcie o nim miałam niżli dziś...

Brakenburg wchodzi.

Klara. Cóż słychać?

Brakenburg. Nic pewnego. Powiadają, iż w Flandryi nowe miały wybuchnąć rozruchy. Regentka obawia się, by się one tu nie przeniosły. Zamek silną opatrzono załogą, u bram miasta obywatele licznie się zgromadzili — lud przerażony roi się po ulicach... Spieszę do mego sędziwego ojca. Chee odejść.

Klara. Pokażże się jutro. Teraz chcę się przebrać. Wuja się spodziewamy, pomożesz mi, mateczko, ubrać się. To twoja książka — weź ją i przynieś mi w zamian inną, ale ładną powieść.

Matka. Żegnaj cię.

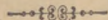
Brakenburg podając Klarze rękę. Daj mi twą rękę, Klaro!

Klara chowa rękę za plecy. Podam ci ją, skoro znowu przyjdiesz. *Matka* i córka odchodzą.

Brakenburg sam. Udawałem, iż odejść zamierzam; oszaleć mi przychodzi, iż ona me udanie za prawdę wzięła i odejść pozwoliła. Nieszczęsny! I ciebie nie porusza los twej ojczyzny? nie poruszają wzmagające się rozruchy? Obojętnem ci jest, kto ma słuszość i kto tobą rządzi — równym Hiszpan i twój rodak? Innym przecież byłem za młodych dni moich. Kiedy nam w szkole kazano wypracować jako ćwiczenie „Mowę Brutusa za wolnością“, wówczas młody Fryderyk najlepiej wywiązał się z zadania, a rektor powtarzał: „Dobrze, bardzo dobrze, byle tylko więcej spokoju, ładu i porządku było w tem wypracowaniu.“ — Wówczas wrzało we mnie, a gorące serce głośno w mem łonie biło. Dziś całą duszą utonałem w oczach tej dziewczyny, one ubezwładniły mnie. Żadną miarą porzucić jej nie mogę. A przecie ona mnie nie kocha! Ach nie — ona — ona nie mogła zupełnie mną wzgardzić — nie zupełnie — na pół mną wzgardziła — zupełnie! Dłużej nie zniosę tego! — Miało-żeby być prawdą, co mi niedawno jeden z mych przyjaciół na ucho powiedział, iż nocą przyjmuje tajemnie jakiegoś mężczyznę, a mnie pełna skromności przed wieczorem z domu wypędza? Nie — to nie prawda, to kłamstwo, przebrzydłe i oszczercze kłamstwo. Klara jest niewinną, jak ja nieszczęśliwym. — Ona mną wzgardziła. odtrąciła

z serca swego... Czyż miałbym tak ciągle żyć? Nie — nie mogę — nie zniosę tego. Ojczyznę moją rozdzierają wewnętrzne niesnaski, a ja nieporuszony zamieram wśród zgiełku! Echo pobudki wojennej, odgłos strzału przenika mnie, lecz nie zagrzewa do czynu. Chwila ta stanowcza odrodzenia ojczyzny mojej nie porywa mnie, nie unosi entuzjazmem, nie prze mnie, bym się rzucił w ten wir, pragnął, dokonywał zbawienia ojczyzny jak drudzy. Nędzne, niegodne to położenie moje! Lepiej, jeśli je raz zakończę. Onegdaj rzuciłem się w wodę — zatonałem, lecz strwożona natura zwyciężyła nad wolą ducha. Czuję, iż mogę wypłynąć i mimo woli wyratowałem się. O gdybym mógł zapomnieć te czasy, kiedy mnie kochała, lub mnie się zdawało, iż mnie kocha. O dłaczegoż tak na wskrós przenikło mnie to szczęście? O czemuż tej nadziei widmo odwiodło mnie od wszelkich rozkoszy życia, okazując mi w dali powabny raj? A ów pierwszy pocałunek — ów jedyny! tu rękę na stół kładąc. Tu byliśmy sami — ona zawsze dla mnie była dobrą i uprzejmą — wówczas zdawała się łaskawszą — dobrą jak anioł — spojrzała na mnie — umysł mój ogarnął jakiś luby obłęd — poczułem jej usta na moich! A teraz! Giń, nieszczęsny! Czego się wahasz? wyciąga fiaskczkę z kieszonki. Uzdrawiająca trucizno! O nie myśl, żem cię napróżno

wykradł z szkatułki lekarza! Ty odrazu wszelki mój niepokój, wahanie i niepewność — ten obłąd zabójczy i te śmiertelnego potu krople pochłaniesz i wyleczysz.



Akt II

Wolny plac w Brukseli. Jetter i Cieśla wchodzą na scenę.

Cieśla. A nie mówiłem już pierwej? Jeszcze tydzień temu powiedziałem w cechu, iż będziemy mieli nie lada przepawki.

Jetter. Jestże to prawdą, że w Flandryi kościoły rabują?

Cieśla. Wszystkie kościoły i kaplice zupełnie zniszczone. Tylko cztery gołe ściany zostały. Przebrzydła hałastra! Wybryki jej szkodzą naszej słusznej sprawie. Powinniśmy byli stanowczo i z godnością żądania nasze przedstawić regentce i obstawiać przy nich niewzruszenie, a nie gwałty wszczynać. Tak teraz, gdy się zejdziemy na naradę, powiadają o nas, żeśmy buntownikami.

Jetter. Tak każdy najpierw dba o siebie i powiada: dlaczegoż ja właśnie mam nos mój wściubiać, kiedy gardło w tak blizkim z nim połączeniu!

Cieśla. Bardzo się obawiam, by wśród motłochu, wśród darmojadów, co nie mają nic do stra-

cenia, nie powstały rozruchy. Pod pozorem wspólnych z nami żądań ku swemu dążyć będą celowi i ojczyznę naszą do nieszczęścia popchną.

Soest nadchodzi. Dobry dzień, panowie, co słychać nowego? Prawda to, że obrazoburcy prosciutką drogą do nas zdążają?

Cieśla. Tu nie śmiań niczego naruszyć.

Soest. Żołnierza, co wstąpił do mnie, tytoniu sobie kupić, wybadywałem na wszystkie sposoby. Regentka jakkolwiek taka dzielna i rozsądna kobieta, w tej chwili kontenans zupełnie straciła. Musi być bardzo źle, kiedy się tak szczerlnie strażą otoczyła. W zamku silna załoga. Powiadają, że zamysła nawet miasto opuścić.

Cieśla. Nie pozwolimy jej wyjechać. Jedyne obecność jej broni nas dotąd, a i ona wśród nas bezpieczniejszą czuć się powinna niżli w obec tych brodaczy. Skoro zaś nam powróci nasze prawa i przywileje, o! to na rękach ją nosić będziemy.

Mydlarz nadchodzi. Szkaradne czyny! Przebrzydłe gwałty! Coraz to wzmaga się zamieszanie i na złe wyjść musi. Mieście się na baczności, trzymajcie język za zębami, by was za rokoszian nie wzięto.

Soest. Otóż zawitało do nas siedmiu mędrców greckich!

Mydlarz. Wiem ja o tem dobrze, że i między nami wielu jest, którzy tajemnie kalwinom

sprzyjają, biskupom zlorzeczą, króla lekceważą. Ale wierny poddany — prawdziwy katolik...

Lud zewsząd się gromadzi.

Wansen nadchodzi. Bóg z wami panowie! Co słyszać nowego?

Ciesła. Nie wdawajcie się z nim, to niebezpieczny człowiek!

Jetter. Czy nie pisarz to doktora Witsa?

Ciesła. Nie jednemu służył on już panu. Najpierw był pisarzem, a gdy go jeden patron po drugim dla nieczystych sprawek wypędział, puścił się na pokątną pisarkę i często do kieliszka zagląda. Co raz więcej ludu przybywa i grupami rozmawiają między sobą.

Wansen. Kiedyście się zgromadzili, to na stawcie uszy — jest o czem pomówić.

Soest. I ja tak sądzę.

Wansen. Gdyby obecnie jeden z drugim miał trochę odwagi w sercu a głowę na karku, moglibyśmy jednym zamachem skruszyć więzy hiszpańskie.

Soest. Panie! nie godzi się tak mówić. Myśmy królowi na wierność przysięgali...

Wansen. A król nam. Zważcie to dobrze.

Jetter. Warto by posłuchać. Powiedźcie nam wasze zdanie.

Kilku. Słuchajmy, ten ma w głowie nie lada, i zna się na kruczkach.

Wansen. Miałem pryncypała starego, który posiadał bardzo wiele dawnych wyroków, pleśnią okrytych pergaminów, odwiecznych kontraktów, listów fundacyjnych, zapisów, które wszystkie bardzo cenił. Miał on także piękny zbiór rzadkich książek. W jednym z tych aktów była cała ustawa nasza spisana. Przeczytałem akt ten i dowiedziałem się, iż najpierw u nas Niderlandczyków książęta rządili i to według praw krajowych, naszych obyczajów i przywilejów. Czytałem, iż przodkowie nasi kochali i szanowali książąt, jeśli sprawiedliwie rządili, a skoro tylko ci władzy swej nadużywać chcieli, nie dozwolali im tego. Wszystkie prowincje miały równe prawa, a każda z nich choćby najmniejsza, reprezentacyę narodową.

Ciesła. Stul głębę! O tem dawno wiemy! Każdy prawy obywatel zna, ile mu potrzeba, swe ustawodawstwo.

Jetter. Pozwólcie mu mówić, zawsze można się czegoś nowego dowiedzieć.

Soest. Macie słusność.

Wielu. Mówcie, prosimy, nie codzień można coś podobnego usłyszeć.

Wansen. I wy się obywatelami zwiecie! Życie z dnia na dzień bezmyślnie, nie bacząc na przyszłość. Tak jak się rzemiosł waszych trzymacie po rodzicach w spuściźnie odziedziczonych, tak też niezdolni do samoistnego czynu, dozwalacie, iż was wróg uciska, rządzi wedle upodo-

bania, nęka i gnębi wedle widzimisię swego. Was nie obchodzi przeszłość, świetne dzieje przodków, żaden was nie pyta, skąd prawo, że ten lub ów wami rządzi i kieruje. Poznali obojętność tę Hiszpanie i tem chyżej i łacniej ułowili was w swe sieci.

Soest. Ktoby o takich rzeczach jeszcze myślał! Każdy rad, jeśli mu na chleb codzienny wystarczy.

Jetter. Czemuż do dyabła kto nie wystąpi i nie pounce nas?

Wansen. Ja wam obecnie to objaśniam. Król jegomość hiszpański, który jedynie z zrządzenia opatrności prowincye nasze dzierzy, nie ma prawa rządzić nami dowolnie, tak jak nie mieli tego prawa i nasi dawni książęta. Rozumiecie?

Jetter. Wyjaśnijcie to nam pierwej!

Wansen. Jasne to, jak słońce. Czy sądownictwo nie powinno być według praw krajowych wykonywane? Jakże byłoby powstało?

Obywatel. Bardzo słusznie. Nie maż Brukselczyk innych praw jak mieszkaniec Antwerpii? Mieszkaniec Antwerpii innych jak mieszkaniec Gandawy? Skądżeby to powstało?

Inny obywatel. Prawda, święta prawda.

Wansen. Wkrótce inaczej nam jeszcze zaśpiwają, jeśli na wszystko zezwalać będziemy. Wstyd i hańba! Czego Karol Śmiały, Fryderyk Wojownik i Karol V. dokonać nie zdołali, to osiągnął obecnie Filip za pomocą kobiety.

Soest. I inni książęta usiłowali nas ujarzmić.

Wansen. Tak, usiłowali tylko, bo nasi przodkowie mieli się na baczności. Jeśli pognewiali się na którego z tych panów, to pochycili mu syna lub jakiego krewniaka, więzili go tak długo, aż w zamian za niego uzyskali jak najkorzystniejsze dla siebie warunki. Nasi ojcowie to byli ludzie rozsądni! Wiedzieli, co im na pożytek wyjść może! Umieli oni uzyskać dla siebie prawa, a raz uzyskane trwale zachować. Prawi mężowie! Dlatego też nasze przywileje tak jasne i dobitne, nadane swobody wszechstronnie zagwarantowane.

Mydlarz. Co mówicie o swobodach, o jakiej wolności mówicie?

Lud. O naszej wolności, o naszych przywilejach. Opowiedźcie nam jeszcze nieco o naszych przywilejach!

Wansen. Chociaż wszystkie prowincye mają swe przywileje, to szczególnież my mieszkańcy Brabantu, myśmy najświetniej wyposażeni. Czytałem jasno...

Soest. Mówcież!

Jetter. Słuchamy.

Jeden z obywateli. Prosimy.

Wansen. Najpierw powiedziano: „Książę Brabantu powinien być dobrym i przychylnym dla ludu.“

Soest. Dobrze, jestże tak napisanem?

Jetter. Przychylnym, czy to tylko prawda?

Wansen. Kiedy ja wam mówię, wierzyć mi możecie. On ma względem nas pewne zobowiązania, my względem niego pewne powinności. — Drugie: Nie wolno mu swej potęgi i samowoli w jakikolwiek sposób wobec nas okazywać a tem mniej wykonywać. Niewolno mu myśleć o udzieleniu komukolwiek zezwolenia w tym względzie.

Jetter. Pięknie, pięknie, nie okazywać!

Inny. I nie myśleć nawet o udzieleniu komu kolwiek zezwolenia. Oto najważniejszy ustęp. Nikomu nie udzielać w jakikolwiek sposób.

Soest. Czy tak jest w rzeczy samej?

Wansen. Pokażę wam to na piśmie. Od dwóch, trzech wieków istnieje ten przywilej.

Jeden z obywateli. A my znosim nowych biskupów? Musimy wszcząć rozruchy, szlachta nas obroni.

Soest. I my dajemy się straszyć inkwizycją?

Wansen. Ha, wasza w tem wina.

Jeden z ludu. Mamy jeszcze hrabię Egmonta, mamy księcia Orańskiego — oni troszczą się o nasze dobro.

Wansen. Wasi bracia w Flandryi wzięli się już do dzieła.

Mydlarz. A ty psie! Uderza go.

Inni bronią go i wołają. Czy i ty Hiszpan?

Jeden z ludu. Odważył się bić tego szlachetnego męża.

Inny z ludu. Tak wysoce uczonego!

Rzucają się na mydlarza.

Cieśla. Na miłość Boga, uspokójcie się, Panowie! Kilku miesza się w sprzeczkę. Obywalele, co to ma znaczyć!

Chłopaki świszczą, rzucają kamykami, szczą psy, mieszczanie stają, gapią się. Lud zewsząd zbiega się, jedni przechadzają się spokojnie, drudzy błaznują, wrzeszczą i śmieją się.

Głosozy z ludu. Wolności, przywilejów! Przywilejów i wolności!

Egmont wchodzi z świtą. Uspokójcie się, obywatel! Co się stało? Na miły Bóg uspokójcie się... Rozłączcie ich!

Cieśla. Miłościwy panie! Przychodzisz jak anioł z nieba zesłany. Cicho! Czyż nie widzicie: hrabia Egmont! Uszanowanie dla hrabi Egmonta!

Egmont. Czy i tutaj wszczynacie rozruchy? Nie wiecie, co czynicie — brat przeciw bratu! Czy bliskość królewskiej regentki nie powstrzymuje was od tego szaleństwa? Rozejdźcie się. Niech każdy wraca do swego zajęcia. Zły to znak, jeśli w dnie robocze świętujecie... Cóż się tu stało?

Wrzawa ucicha powoli — wszyscy otaczają Egmonta kołem.

Cieśla. Biją się o swe przywileje.

Egmont. Które, swawolnie postępując, nieochybnie stracić możecie. I coż wy za jedni? Zdajecie się być uczciwymi ludźmi.

Cieśla. Staramy się nimi być.

Egmont. Jakiego cechu?

Cieśla. Jestem cieślą i cechmistrzem zarazem.

Egmont. A wy?

Soest. Kramarzem.

Egmont. A wy?

Jetter. Krawcem.

Egmont. Przypominam sobie. Szyliście wspólnie z innymi liberyę dla moich ludzi. Zwicie się Jetter.

Jetter. Dzięki wam za łaskawą pamięć.

Egmont. Nie zapominam tak prędko tych, których raz widziałem i z którymi mówiłem. Jako uczciwym przystoi wam pokój utrzymać, dlatego nie zaburzajcie go. I tak już źle o was sądzą. Nie drażnijcie króla, który siłą rozporządza. Porządny obywatel, który pilnie i uczciwie pracuje, znajdzie zawsze tyle wolności, ile mu jej potrzeba.

Cieśla. Ach słusznie! To właśnie nasze nie-szczęście, iż nie pilnujemy roboty i w nie swoje udajemy się rzeczy. Draby, pijaki i próżniaki, z przeproszeniem Waszej hrabiowskiej Mości — z nudów i lenistwa zapowietrzają swemi bredniami spokojną atmosferę. Jak głodne psy z ziemi kości, tak oni z zamierzchłych czasów przywileje wygrzebują. Plotą łatwowiernym i ciekawym baśnie w nadziei, iż ich kto za to poczęstuje, wszczynają rozruchy i zamieszki, które ogół w nie-szczęście pchnąć może. Tego właśnie pragną. Dotąd domy i zasieki nasze szczelnie zamknięte,

mój stoim na straży dobytku naszego, encieliby więc pochodnią pożaru wystraszyć nas z naszych stanowisk.

Egmont. Wasze uczciwe zamiary nie bez parcia zostaną, już obmyślane są środki zaradcze, iżby źle energicznie stłumić. Bądźcie głuchymi na obce namowy i nie wiercie tym, którzy twierdzą, iż rokoszem utrwala się przywileje. Strzeżcie domów waszych i przebywajcie w nich, w mieście nie znoście zbiegowisk ulicznych i rozpraszajcie je. Rozsądni ludzie mogą wiele dobrego dokonać. Wśród tych słów rozechodzi się tłum uliczny.

Cieśla. Dziękujemy Waszej Ekscelencji, dziękujemy za dobrą radę! Ile sił starczy, starać się będziemy. Egmont odchodzi. Co za łaskawy pan.— Prawdziwy Niderlandczyk! Nic w nim z tej dumy hiszpańskiej.

Jetter. Gdyby on nami rządził, chętnieby go każdy słuchał.

Soest. Tego król nie uczyni. Posadę namiestnika przeznaczają zwykle swym dworakom.

Jetter. Uważałeś stróić Egmonta? Według najnowszej mody, według hiszpańskiego kroju.

Cieśla. Piękny to pan.

Jetter. Pieścidełkiem byłaby szyja jego dla kata.

Soest. Czyś oszalał? Co za myśl przvszła ci do głowy?

Jetter. Dość głupio, iż człeku takie myśli przychodzą. Ale nie pierwszy to raz. Skoro zobaczą piękną, długą szyję, mówię do siebie: Dobra pod topór. Przekłętę egzekucyje! Nie można ich sobie z pamięci wybić. Gdy ujrzę pływających chłopców i wpadnie mi w oko nagi grzbiet, przypominam sobie setki owych grzbietów, które widziałem jak je różgami sieczono. Gdy spotkam tegiego tłuściocha, widzę go już w myśli wbitego na pal. Nocą we śnie szczypie i szarpie mnie we wszystkich członkach, nie mam chwili spokojnej — w dzień jak zakłęte stoją przed memi oczyma straszliwe postacie, owe widma nocne, a wobec nich zapominam o swobodnej zabawie i wesołej rozrywce. —

Pomieszkanie Egmonta.

Sekretarz wstaje od stołu założonego papierami i przechadza się niespokojnie. Jeszcze go niema! Czekam przeszło dwie godziny, z piórem w ręku, z papierem przed sobą — a właśnie dziś radbym wcześniej się uwolnić. Stoję jak na węglach, już mi cierpliwości nie staje. „Staw się na godzinę“ brzmiał jego rozkaz, gdy wychodził, a teraz czekam na niego od dwóch godzin i niecierpliwię się. Tyle jest do czynienia i przed północą nie

zdołam się uporać. Wprawdzie i on mi nieraz przez palce patrzy, wolałbym jednak, iżby był sprężystym i oznaczał mi pewny czas do pracy, mógłbym się według tego zastosować. Już dwie godzin minęło jak od regentki wyszedł. Bóg wie, z kim się znowu zeszedł.

Egmont wchodzi. Coż tu słychać?

Sekretarz. Gotów jestem na rozkazy. Prócz tego trzech posłańców czeka.

Egmont. Nieco za długo czekałeś na mnie, jak widzę, nie w smak ci to.

Sekretarz. Powolny waszym rozkazom długo czekałem. Otóż są nadeszłe papiery.

Egmont. Donna Elwira gniewać się będzie na mnie, skoro się dowie, iż ja cię zatrzymałem.

Sekretarz. Hrabia żartujesz zawsze.

Egmont. O wcale nie. Nie potrzebujesz się wstydić, zdradzasz niezły gust. Donna Elwira jest piękną. Ja nie żartuję, przeciwnie bardzo z tego zadowolony jestem, że w zamku królewskim znalazłeś przyjaciółkę. — Co zawierają listy?

Sekretarz. Wiele nowin, ale mało wesołych.

Egmont. Dobrze, że sami jesteśmy wesołego usposobienia i nie potrzebujemy oczekiwać wiadomości, któreby nas rozweselić miały. Czy wiele listów nadeszło?

Sekretarz. Dosyć, i trzech posłańców na odpowiedź czeka.

Egmont. A więc mów, lecz tylko to, co najważniejsze.

Sekretarz. Wszystko zarówno ważne.

Egmont. Mówże o wszystkim, byle prędko.

Sekretarz. Kapitan Breda relacyonuje o tem, co zaszło w Gandawie i okolicy. Niepokoje prawie wszędzie ucichły.

Egmont. Donosi zapewne jeszcze o pojedyn-
czych wybrykach i nieporządkach.

Sekretarz. Tak — gdzie niegdzie wydarzają się jeszcze.

Egmont. Nie chcę słyszeć o nich.

Sekretarz. W okolicy Verwich schwymano sześciu, którzy obraz Matki Boskiej z ołtarza zdarli. Zapytuje, czy ma ich jak poprzednich ukarać śmiercią przez powieszenie.

Egmont. Dość już tego wieszania. Niech ich wychłoscze i na wolność puści.

Sekretarz. Brink z kompanii Bredy chce się żenić. Kapitan spodziewa się, iż mu odmówicie. Piszę on, iż tyle już żonatych żołnierzy, że jeśli kiedy wyruszymy w pole, pochód nasz podobniejszym będzie do cygańskiej bandy niżli do orszaku wojennego.

Egmont. Jeszcze temu jednemu pozwalam. Piękny, rosły młodzieniec, nim odjechałem, prosił mnie o to usilnie. Odtąd jednak żaden nie śmie się żenić, jakkolwiek bardzo mi przykro odmawiać tym biedakom jedynej ich przyjemności. —

Sekretarz. Dwóch z służby waszej, Seter i Hart, znieważyli dziewczynę, córkę gospodarza. Przychwycili ją na osobności, a dziewczyna nie zdołała się im oprzeć.

Egmont. Jeśli uczciwie z niej dziewczę, a oni gwałtu użyli, to niech przez trzy dni każe publicznie różgami ich chłostać. Gdyby jakie pieniądze posiadali, obrócić na zakupno wyprawy dla owej dziewczyny.

Sekretarz. Jeden z apostołów nowej nauki w przechodzie przez Comines ujęty został. Zapewnia on święcie, iż miał zamiar do Francyi się dostać. Według rozkazu powinien śmierć ponieść...

Egmont. Niechaj go skrycie podwiożą do granicy, tam go puszczą i zagrożą mu, że drugą razą nie uda mu się cało wysliznąć.

Sekretarz. Kasyer wasz pisze, iż mało pieniędzy wpływa, dlatego wątpi, iżby mógł na przyszły tydzień przysłać żadaną przez pana hrabiego sumę. Obecne rozruchy wpłynęły na to, iż w kasie pustki.

Egmont. Pieniądze być muszą, jego rzeczą jest je zebrać.

Sekretarz. Powiada, iż wszystko czynić będzie, co tylko w jego mocy. Chce on raz już zaskarżyć Raymonda i do kozy zamknąć.

Egmont. Ależ Raymond obiecał zapłacić.

Sekretarz. Ostatnim razem sam sobie nazna-
czył czternastodniowy termin.

Egmont. Dodać mu więc jeszcze czternaście dni
a dopiero po bezskutecznym upływie przeciw
niemu wystąpić.

Sekretarz. Czasby już był po temu. Zła wola
a nie niemożność uiszczenia czyni go nieuczci-
wym. Skoro zobaczy, iż hrabia nie żartuje, to i on
naprawdę o zapłacie pomyśli. Dalej proponuje
kasyer, iż chce na pół miesiąca starym żołnie-
rzom i niektórym innym, którym hrabia udzie-
lił pensye, wypłatę zastanowić. Tymczasem może
znajdzie się jaki inny sposób wydostania pienię-
dzy a biedni ci muszą się do tego zastosować.

Egmont. To być nie może! Ludziom tym bar-
dziej potrzeba pieniędzy niżli mnie. Niech to
zaniecha.

Sekretarz. Proszę mu więc wskazać, skąd ma
wziąć pieniądze.

Egmont. O tem niech on myśli — zresztą
podałem mu już wskazówki w ostatnim mym
liście.

Sekretarz. Te są niewykonalne, dlatego przed-
kłada od siebie propozycye.

Egmont. Tych znowu ja przyjąć nie mogę. Ta-
kie propozycye na nie się nie zdały. Niechaj co
innego wymyśli, przedewszystkiem jednak niech
przyśle pieniądze.

Sekretarz. Ponownie położyłem panu hrabiemu
na widoku list hrabiego Oliwy. Proszę mi daro-
wać, że przypominam, lecz sędziwy pan ten
szczególniej zasłużył na obszerną odpowiedź.
Hrabia chciał się mu sam pisać. On was tak szcze-
rze kocha jak ojciec.

Egmont. Nie mogę się zebrać do napisania
tego listu. Między wieloma rzeczami, których nie
lubię, pisanie listów jest mi najbardziej uciążli-
we. Ty umiesz tak dobrze naśladować mój cha-
rakter, napisz mu więc w moim imieniu. Lada
chwila ma nadejść książę Orański, nie będę więc
miał czasu, chciałem jednak jak najprędzej hr.
Oliwie odpisać, iżby go uspokoić i obawy jego
usunąć.

Sekretarz. Niech mi hrabia powie, co mu mniej
więcej napisać mam, ułożę sam odpowiedź, w któ-
rej tak dokładnie naśladować będę pismo pana
hrabiego, iż wobec sądu mogłoby ujść za jego
pismo.

Egmont. Podaj mi list. Przeglądawszy go. Dobry,
pocziwy starcze! Czy w twej młodości byłeś także
tak bardzo przezornym? W bitwie czy słucha-
łeś zimnego rozsądku, a gdy ci ten w tyle po-
zostać rozkazywał, nie biegłeś naprzód i na wał
się nie wspinąłeś?... Pełen przywiązania i obawy
o mnie. Pragnie, bym żył i szczęście osiągnął.
Snadź nie wie, że ten już zaumarł, kto w bezpie-
czeństwie życie swe wie dzie, na nic się nie na-

rażając. Napisz mu, niech się o mnie nie obawia, ja działam, jak mi powinność nakazuje i będę się umiał od wszelkich zarzutów zabezpieczyć. Proś go tylko, iżby wpływu swego, jaki na dworze posiada, używał na moją korzyść a może być pewnym mej nieograniczonej, wdzięczności.

Sekretarz. Więcej nie mam mu napisać? On się spodziewa więcej oń was usłyszeć.

Egmont. Cóż mu mam jeszcze do powiedzenia? Jeśli chcesz więcej spisać słów, to zależy to tylko od ciebie. Ciągłe około jednego krąży przedmiotu: żebym tak żył, jak ja nie mogę, jak żyć nie umiem. Że wesół jestem, lekko życie pojmuję, czyżo dzień po dniu spędzam, w tem właśnie moje szczęście i nie zamienię je nigdy za ową pewność i bezpieczeństwo jednostajne, grobowe, bez wrażeń i odmiany. Ni kropli krwi w mych żyłach, któraby mnie do hiszpańskiego sposobu życia skłonny czyniła. Nie mam najmniejszej ochoty, kroki me według prawideł dworskiej etykiety stawiać i odmierzać. Żyjęż na to tylko, by pamiętać o życiu? Mamże zatruwać sobie teraźniejszość dla zabezpieczenia przyszłości, a i tę później troskami i niepokojem trawić?

Sekretarz. Nie wypada być tak szorstkim wobec tego dobrego czelaka. Dla wszystkich jesteś hrabia tak uprzejmym. Powiedz mu jakie przyjaźne słówko, któreby zdołało uspokoić poczciwego przyjaciela. Weź hrabia na uwagę, jaka troskliwość

w liście jego, jak się stara wypowiedzieć prawdę a mimo to nie urazić was.

Egmont. A przecież mię uraził. Wie on z dawien dawna, jak nienawidzę napomnień. Nie odnoszą one żadnego skutku prócz tego, iż mnie drażnią. Przypuśćmy, iż jestem lunatykiem i w wym obłądnie kroczę po niebezpiecznym szczycie dachu. Byłażby to przyjaźń, gdyby w tej chwili na mnie kto zawołał w celu udzielenia mi przestrogi? Obudziwszy się i na ziemię spadłszy, musiałbym się zabić. Niechaj każdy zdąży na wytkniętej przez się drodze i sam się ma na baczności. —

Sekretarz. Wiem o tem, iż nie przystoi ciebie, hrabio, przestrzegać — lecz kto cię poznał i pokochał...

Egmont patrząc w list. Znowu naprowadza owe błahe żarty, którychśmy się dopuścili jednego wieczora z pustej wesołości, rozweseleni winem. Z przebrania sług moich za błaznów co za okropne wysnuli konsekwencye — co więcej, przypuszczenia zamierzonej obrazy majestatu królewskiego! Cóż w tem zdroźnego, że na liberyi służby mojej kazałem wyszyć znamiona błazeńskie, czapkę z dzwonekami, a później znamiona te zastąpić kazałem wyszyciem pęku strzał. Błazeńska czapka, a później strzały jedwabiem wyszyte, oto niebezpieczne znamiona dla wszystkich tych, co radzi z niczego coś przecieź wywnioskować. Te i wiele innych wybryków w wesołej chwili bez

żadnej myśli ni zamiaru powziąłem i wykonałem, czyż na mnie dlatego może spaść odpowiedzialność i czyż ja to spowodowałem, iż całe orszaki zarzuciwszy na siebie sakwy żebrackie i przybrawszy dziwaczną nazwę, królowi z szyderską uniżonością powinności jego przypominały? Cóżem dalej zawinił? Czyż szaleństwa karnawałowe są zdradą majestatu? Dlaczegoż podejrzynwać ubiory maskowe bez znaczenia, któremi młodzieńcza swawola i wybujała ochoczość, ubożuchną nagość, czczość i jednostajność życia naszego zakryć i rozerwać usiłują? Jeśli sądzicie, iż życie tylko z poważnej strony brać należy — ileż wówczas to życie warte? Gdy nas poranek do nowych rozkoszy i uciech nie budzi, a wieczór słodkimi marzeniami wesołości i swobody nie napawa, czyż warto ubierać i rozbierać się? Czyż dlatego dzisiaj przyświeca mi słońce, abym rozpamiętywał, co wczoraj było? Mamże przemyśliwać i kombinować to, czego ani wymyśleć ani skombinować niemożna, to jest przyszłość dnia następnego? Obejdę się zupełnie bez tych rozpamiętywań i pozostawiam je uczniom i dworakom. Ci niech myślą, kombinują, niech liczą, dążą i dochodzą dokąd chcą — i wyczołgają, co mogą... Jeśli z tego, co ci powiedziałem, możesz co zużytkować, jednak tak, by list twój nie robił wrażenia umiejętnej prelekyi, to dobrze. Temu staremu, poczciwemu człeku wyda się wszystko bardzo ważnem,

dlatego iist jego tak długi, kilkakrotnie usiłując skończyć, jednak nie kończy. Tak przyjaciel przy rozstaniu z przyjacielem ściska dłoń coraz silniej, ileż ją w końcu przecież wypuścić i może na wieki rozstać się musi...

Sekretarz. Darujesz mi, hrabio, lecz zdaniem mojem hrabia Oliwa ma słuszość, przestrzegając cię po ojcowsku i błagając o prowadzenie mniej burzliwego życia. Pieszko zdążającemu zawrót umysł ogarnia, gdy ujrzy człeka, który z łoskotem, niebacznie, z chyżością strzały obok niego przejeżdża.

Egmont. Dzieckiem jesteś, dzieckiem, nie mów dalej! Jakby przez niewidzialne duchy wiedzione mkną lśniące rumaki, które czas do lotu popędza, unosząc lekki pojazd naszego losu; nam nie pozostaje nic prócz trzymania lejc, silnie, nieustraszenie, oburącz, i ostrożnego kierowania bądź po prawej, bądź po lewej stronie, tu od sterzących kamieni, ówdzie od zgubą ziejącej przepaści. Któż odgadnąć zdoła, jak długo i dokąd śmiała jazda zawiedzie? Drogą życia wiedzie nas przeznaczenia ręka, a początek i kres jego okrywa tajemnicza mgła.

Sekretarz. O panie! Panie mój!

Egmont. Stałem wysoko! Mogę i muszę wznieść się jeszcze wyżej, czuję w sobie odwagę, siłę i nadzieję. Droga moja jeszcze nieskończona, nie dopiąłem szczytu, a jeśli stanę raz u niego,

to stać będę silnie i bez lęku. Mamli runąć, to niechaj uderzenie piorunów, szumiąca burza lub fałszywy krok przezemnie postawiony, powali mnie w przepaść, tam spocznę nie sam, lecz z tysiącem innych. W boju krwawym nie pogardzałem nigdy mymi dobrymi towarzyszami. Gdy nawet o małą szło korzyść, chętnie życie moje na szali losu stawiałem; a mamże się okazać tchórzem, gdy o zupełną i nieskażoną wartość mego życia chodzi?

Sekretarz. O panie, ty nie zważasz, co mówisz! Niech cię Bóg Wszechmocny strzeże!

Egmont. Zbierz twe papiery. Ks. Orański nadchodzi. Wygotuj, co jest najpilniejszym, iżby posłańcy wyjechać mogli, nim bramy miasta zamkną. Resztę zostaw na później. List do hrabiego Oliwy odłóż do jutra. Nie zapomnij odwiedzić Elwirę i pozdrowić odemnie. Dowiedz się także, jak się regentka ma, słyszę, że chora, chociaż się z tem kryje. Sekretarz odchodzi.

Ks. Orański wchodzi.

Egmont. Witaj mi, książę! Cóżto oblicze twoje zasępione?

Ks. Orański. Jakiż sąd twój o rozmowie naszej z regentką?

Egmont. Nie widzę nic nadzwyczajnego w jej przyjęciu. Często już widziałem ją w podobnem usposobieniu. Zdawała mi się niezupełnie zdrową.

Ks. Orański. Czy nie zauważałeś, że była mniej otwartą i szczerą jak zwykle? Najpierw zdawała się z postępowaniem naszym wobec nowych rozruchów ludu niejako zgadzać, później dodała, jak mimo tego, w fałszywym świetle widzianeby być mogły u dworu zabiegi nasze; a wreszcie skierowała mowę na swój ulubiony temat, jak my Niderlandczycy bez uznania jesteśmy dla jej pełnego łagodności i dobroci sposobu rządzenia, jej przyjaźni dla nas i żeśmy ją lekceważyli. W końcu oświadczyła, że widzi, iż zabiegi jej pomyślnego skutku nie osiągną, a że ciągle trudy rządu jej się już sprzykrzyły, przeto król zmuszonym będzie, innych środków się imać. Czy uważałeś i słyszałeś wszystko, co regentka mówiła?

Egmont. Nie wszystko. Podczas tego myślałem o czem innem. Ona kobietą, mój zacy Wilhelmie, a kobiety pragnęłyby, iżby wszystko bez oporu ich łagodnemu ulegało jarzmu, chciałyby, iżby każdy jak ów Herkules zdjął z siebie skórę lwią i przął u nóg ich. Ponieważ sama spokoj lubi, chciałyby zgodliwemi słowy namiętności, które lud wzbudzają, gromy, które potężni współzawodnicy wzajemnie na się ciskają, zażegnać, uciszyć i uspić; chciałyby, iżby najsprzeczniejsze żywioły u podnóża tronu jej w zgodzie i pokoju się złączyły. Oto są jej dążenia, lecz, że tego dokonać nie zdoła, więc okazuje swe niezadowo-

lenie, kaprysi, wyrzeka na nierozum i niewdzięczność ludu — rada nas okropnym widokiem przyszłości przestraszyć i grozi wreszcie — iż nas porzuci.

Ks. Orański. Sądziszli, iż tym razem groźby swej nie spełni?

Egmont. Nigdy! Ileż to razy widziałem ją do podróży zupełnie gotową. Dokądże ma się udać? Tu jest regentką, królową, czy sądzisz, że wolałaby na dworze brata swego bez znaczenia i władzy nudne dni spędzać lub też do Włoch wyjechać i tam na nowo odświeżać znienawidzone stosunki familijne?

Ks. Orański. Uważasz ją niezdolną tego postanowienia, widziałeś ją bowiem już nieraz chwiejną, patrzyłeś niejednokrotnie na to, iż od wziętego odstępowała zamiaru. Tym razem jednak, powiadam ci, iż rzeczywiście zamiaru swego dokona. Wielkiej doniosłości położenie obecne skłania ją do uczynienia stanowczego kroku. Cóż się stanie, gdy nas opuści, a król natomiast przyśle kogo innego?

Egmont. Ten przybędzie i będzie miał mało do czynienia. Przyjdzie z wielkimi planami, projektami i zamiarami, aby wszystko ku dobremu skierować, podbić i ujarzmić. Dziś ta, jutro owa drobnostka w rachubę niewzięta zajmie go. Pojutrze natrafi na przeszkody. Miesiąc cały nad projektami, drugi wśród zgryzot nad nieziszczono-

nymi zamiarami, pół roku w rozlicznych troskach nad jedną prowincją spędzi. I jemu zejdzie czas na niczem, zamąci się w głowie a sprawy zwykłą potoczają się drogą, tak iż on, miasto bezpiecznie i spokojnie na wytkniętej żeglować kolei, Bogu dziękować będzie, jeśli swą łódź wśród burzy i nawałnic uchowa od skał morskich i rozbicia.

Ks. Orański. A gdyby króla namówiono do pewnego kroku?

Egmont. Do jakiego, jeśli wiedzieć wolno?

Ks. Orański. Jesliby go namówiono, iżby spróbował, co znaczy tułów bez głowy...

Egmont. Jak to rozumiesz?

Ks. Orański. Egmoncie! Od lat wielu zajmuję się tem, co nam na sercu leżeć powinno, stoję ciągle jakby nad szachownicą i nie lekceważę żadnego posunięcia przeciwnika, a jak ludzie niemający nic do czynienia z największą troskliwością tajniki natury badają, tak ja poczytuję to za świętą powinność księcia, znać sposób myślenia i wiarę polityczną wszystkich w kraju stronniectw. Słusznie obawiam się groźnego wybuchu. Król od dawna postępuje wytkniętą drogą, przekonuje się, iż ona go do żadnego nie prowadzi rezultatu... cóż więc prawdopodobniejszego jak to, że innych chwyci się środków?

Egmont. Nie podzielam twego zdania. Gdy człek się zestarzeje i ujrzy, iż próby jego i eksperymentu żadnego nie odniosły skutku, a sprawy,

na które wpływać usiłował, zwykłym potoczają się torem, to sądzę, iż znuży go wreszcie ta bezowocna praca.

Ks. Orański. Król jeszcze jednego nie próbował...

Egmont. Czego?

Ks. Orański. Lud oszczędzać a książąt zgubić.

Egmont. Wielu obawiało się już tego, lecz mojem zdaniem płonna to obawa.

Ks. Orański. I ja tak sądziłem. Najpierw żyłem tylko obawę, potem zmieniła się ona w przeczcucie, nareszcie obecnie stała się pewnością.

Egmont. A czyż ma król wierniejszych sług od nas?

Ks. Orański. Służymy mu naszym sposobem a prawdę mówiąc nasze prawa i przywileje kładziemy na szalę z obowiązkami względem króla i ściśle odważamy, co król nam, a co my królowi winni.

Egmont. Tak każdy czynić powinien. Zresztą jakkolwiek stoimy na straży praw naszych, jesteśmy królowi wiernie oddani.

Ks. Orański. A gdyby król mniemał, że nie dość mu służymy i nazwał wiarołomstwem to, co my tylko obstawaniem przy naszych prawach zwiemy?

Egmont. Wówczas zdołamy się obronić. Niechaj król zwoła rycerzy złotego runa, z gotowością poddamy się sądowi.

Ks. Orański. A cóż wtedy, gdyby wyrok zapadł przed śledztwem — kara przed wyrokiem?

Egmont. Byłoby to rażącą niesprawiedliwością, której się Filip nigdy nie dopuści, byłoby to szaleństwem, zaślepieniem, których nie przypisuję jego doradcom.

Ks. Orański. A gdyby w samej rzeczy niesprawiedliwymi i szalonymi się okazali?

Egmont. O nie, Wilhelmie, to nie jest możliwem. Któżby poważył się tknąć nas? Napróżno kusiliby się uwięzić nas. Nie, nie odważą się oni tak wysoko zatknąć sztandar tyranii. Tchnienie wiatru, któreby wieść tę po kraju rozniosło, wszczęłoby okropny pożar. Cóżby takim postępowaniem osiągnąć chcieli? Nas sądzić i potępić nie ma prawa nawet sam król — a mieliżby skrytobójczo na życie nasze nastawać? O nie! Tego nie uczynią. Naród cały jak jeden mąż powstałby na ich własną zgubę. Niengaszzone pragnienie zemsty i wieczysty rozbrat z koroną hiszpańską byłyby jedynym skutkiem takiego działania.

Ks. Orański. Płomienie szalałyby wówczas nad mogiłą naszą, a krew nieprzyjaciół spływałaby jako bezowocna ofiara zadosyćuczynienia w groby nasze. — Rozważ to dobrze, Egmoncie!

Egmont. Czyżby być mogło?

Ks. Orański. Alba już w drodze...

Egmont. Nie wierzę temu.

Ks. Orański. Lecz ja wiem o tem na pewno.

Egmont. Regentka udawała, że o niczem niewie.

Ks. Orański. Tem bardziej to mnie przekonują, iż wiadomości moje są pewne. Regentka ustąpi mu swego miejsca. Jego dzikość i krwiożerczość znam. Alba przybędzie z wojskiem...

Egmont. Na nowo prowincye uciskać. Lud źle na to patrzeć będzie.

Ks. Orański. Najpierw usuną z widowni głowy tego ludu.

Egmont. Nie, nie!

Ks. Orański. Wracajmy każdy do swej prowincyi; tam wzmocnimy się, siłą zbrojną na nas nie uderzy.

Egmont. Czyż nie wypada nam go przywitać, gdy przybędzie?

Ks. Orański. Będziemy zwlekać.

Egmont. A gdy wszedłszy do kraju zawezwie nas w imieniu króla?

Ks. Orański. Znajdziem wymówki.

Egmont. A jeśli nalegać będzie?

Ks. Orański. Będziemy się usprawiedliwiać.

Egmont. A jeśli stanowczo i nieodzownie tego zażąda?

Ks. Orański. Tem mniej wówczas przybędziem.

Egmont. O! wtedy wojna jawnie wypowiedziana, a my jesteśmy rokoszanami. Wilhelmie, rozważ to dobrze, iżby rozsądek twój nie był złym dla cię doradcą. Wiem, że trwoga nie zniewoli cię do cofnięcia się. Wilhelmie, rozważ to dobrze, co czynić zamierzasz.

Ks. Orański. Już rozważyłem.

Egmont. Zastanów się i pomnij, że, jeśli jesteś w błędzie a tak postąpisz jak zamierzasz, staniesz się przyczyną najzgubniejszej wojny, jaka kiedykolwiek kraj jaki spustoszyła. Wzbraniać się, nie okazać się powolnym rozkazom namiestnika królewskiego, będzie hańbą, które od razu wszystkie prowincye do broni powoła i usprawiedliwi wszelkie okrucieństwa Alby, których serca Hiszpan od dawna sobie życzą. Cośmy tak długo z trudnością w spokoju utrzymywali, pobudzisz od razu do działania. Pomnij na nasze miasta, w których dobrobyt kwitnie, na szlachtę, na lud nasz, na handel, rolnictwo i przemysł! Pomnij na spustoszenia, jakie wojna z sobą przynosi, na mordy i pożogi! Z spokojem patrzy żołnierz w boju na konającego towarzysza — lecz przed oczyma twemi staną tysiące trupów obywateli, niewiast i dzieci, których twojem działaniem w przepaść popchnąłeś. Z przerażeniem patrzeć będziesz na te okropności, zapomnisz wówczas, czyje bronisz sprawę, gdy ci, dla których za broń chwyciłeś, marnie ginąć

będą. A jakież uczucie owładnie serce twe, gdy będziesz musiał w duchu powiedzieć do siebie: „dla własnego bezpieczeństwa chwyciłem za oręż!”

Ks. Orański. Zapominasz, Egmoncie, iż my, książęta, nie jesteśmy jednostkami. Jeśli nam nieraz przystoi nastawiać piersi w obronie tysięcy, to nie jest hańbą dla nas, gdy życie tysięcy poświęcamy, jeśli chodzi o nasze bezpieczeństwo.

Egmont. Kto własnego bezpieczeństwa baczy, sam sobie w duchu podejrzanym być musi.

Ks. Orański. Kto siebie poznał, może śmiało naprzód i w tył postępować.

Egmont. Złe, którego się obawiasz, niechybnie spowodujesz swem działaniem.

Ks. Orański. Znamieniem to rozsądku i odwagi, nieuniknionemu złemu iść wbrew na spotkanie.

Egmont. Z uwagi na tak doniosłe i olbrzymie niebezpieczeństwo należy z oczu nie spuszczać i najmniejszego promyka nadziei.

Ks. Orański. Nie mamy nawet tyle pod nogami ziemi, ile na stopę wystarczy — a tuż blisko przepaść niezgłębiona.

Egmont. Jestże łaska królewska tak ważkim przesmykiem?

Ks. Orański. Nie tyle ważkim jak ślizkim i spadzistym.

Egmont. Zaprawdę! Krzywdę wyrządzasz królowi. Nie znoszę, gdy kto o Filipie z ujmą sądzi. Syn Karola V. nie dopuści się podłości.

Ks. Orański. Królowie nie dopuszczają się nigdy podłości.

Egmont. Należy poznać go dokładnie.

Ks. Orański. Poznałem go i sądzę, że nie należy wyczekiwać niebezpiecznej próby.

Egmont. Żadna próba nie jest niebezpieczną, jeśli się jej z odwagą wyczekuje.

Ks. Orański. Unosisz się, Egmoncie!

Egmont. Muszę własnymi spoglądać oczyma.

Ks. Orański. O gdybyś tym razem tylko spoglądał mojami i przejrzał, iż rzeczywiste grozi nam niebezpieczeństwo. Zdaje ci się, przyjacielu, że widzisz. Ja wracam do mojej prowincyi, ty oczekuj przybycia Alby i niech cię Bóg od złego uchwata. Może moje zwlekanie będzie dla ciebie ratunkiem. Może temu krwiożerczemu smokowi wyda się, iż nic nie pochłonie, skoro nas obydwóch razem zniszczyć nie zdoła. Może zwlekać będzie, iżby tem pewniej mógł dokonać swego zamiaru, a może później istotne położenie nasze w właściwym okaże ci się światło. Ale wówczas ani chwili nie zwlekaj. Ratuj się czem prędzej! — — — Niechaj nic nie uchodzi twej bacznosci: ile woj-ska z nim przybędzie, w jaki sposób miasto zajmie, jaką siłę zbrojną pozostawi regentce, jakiego

drucha twoi przyjaciółowie będą, jakie usposobienie ogółu — Doniesiesz mi — — — Egmoncie!

Egmont. Co ci to, Wilhelmie!

Ks. Orański biorąc go za rękę. Daj się przekonać, chodź ze mną!

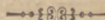
Egmont. Co widzę — łyż w twoich oczach, Wilhelmie!

Ks. Orański. Zgubionego oplakiwać, przystoi i mężczyźnie.

Egmont. Więc sądzisz, iżem zgubiony?

Ks. Orański. Jesteś nim. Rozważ to raz jeszcze. Pozostaje ci tylko mała chwila do namysłu. Bądź zdrow! Ochodź.

Egmont sam. Dziwna, iż myśli innych ludzi taki wpływ na nas mają. W głowie mej nie powstałyby nigdy podobne przypuszczenia — a człowiek ten natchnął mnie swojemi troskami. Precz odemnie, myśli, co mnie lękiem przejmujesz! Obca to kropla w mej krwi. Dobra naturo, wydziel ją ze mnie! By z czoła mego ponure myśli i chmury trosk spędzić, posiadam, nieomylny i luby środek.



Akt III.

Pałac regentki.

Małgorzata z Parmy. Powinnam była się domyśleć! Lecz kiedy się wśród pracy i mazołów żyje — sądzi człek, że czyni wszystko, co tylko jest w mocy jego, temu jednak, co tylko zdala zwykł się przypatrywać i rozkazy wydawać, zdaje się, iż żądania jego nie są wygórowane, że żąda tylko tego, czemu drugi poddać może. O królowie! Nie sądziłam nigdy, iżby mnie to tak bardzo dotknąć mogło. Jakże pięknie jest rządzić i móż rozkazywać! A składać rządy? Nie wiem, jak ojciec mój zdołał to uczynić, lecz i ja muszę wejść w jego ślady.

Machiawel w głębi sceny.

Regentka. Przybliź się, Machiawelu. Rozmyślam właśnie nad listem mego brata.

Machiawel. Czy mogę wiedzieć, co ten list zawiera?

Regentka. Tyle w nim czulej pamięci dla mej osoby, ile troskliwości o swe państwo. Pochwała nieustraszoneść, gorliwość i wierność, z jaką dotychczas około zachowania praw jego majestatu tu czuwałam. Ubolewa nademną, iż niesforny lud tyle mi przykrości sprawia. O zbawienności zarządzonych przezemnie kroków jest tak zupełnie

przekonany, rozsądkiem mego postępowania tak nadzwyczajnie zadowolony, iż śmiało powiedzieć mogę, że list ten jak na króla, aż nadto piękny, a na brata z pewnością piękny.

Machiawel. Nie pierwszy to raz, że wam okazuje zadowolenie, na które Wasza książęca Mość zasłużyła.

Regentka. Ale pierwszy raz, iż list swój krasomowczymi przepełnił zwrotami.

Machiawel. Nie pojmuję, jak to Wasza książęca Mość rozumiesz.

Regentka. Pojmiesz. Po tym wstępie pisze mi król: iż bez załogi, bez armii moja rola tu będzie bez znaczenia. Powiada, iżem źle uczyniła, że uwzględniając prośby mieszkańców wycofałam wojsko z tych prowincyi. Zdaniem króla, załoga, która na karku mieszkańcom siedzi, wstrzymuje ich od wszelkich wybryków.

Machiawel. Oburzyłoby to bardzo umysły.

Regentka. Król zaś jest zdania, uważ to do brze — on jest zdania, że tęgi generał, który na nic nie zważa, tylko swej powinności i rozkazu pilnuje, że taki prędkoby się uporał ze szlachtą, mieszczaństwem i ludem — i dlatego posyła z silną armią księcia Albę.

Machiawel. Albę?

Regentka. Czy to cię zadziwia?

Machiawel. Powiadacie: posyła. Zapewne pyta, czy ma posłać?

Regentka. Król nie zapytuje, lecz posyła.

Machiawel. A więc będziecie mieli do posług waszych dzielnego wojownika.

Regentka. Do moich posług? Mów otwarcie, Machiawelu!

Machiawel. Nie chciałbym was uprzedzać w waszych domysłach.

Regentka. A ja radabym udać, że nie rozumiem zamiaru króla. — Przykro mi, bardzo mi przykro. Wolałabym, iżby brat mi wprost wypowiedział swe myśli a nie pisał długich listów przepelnionych pustymi frazesami, nad którymi jego sekretarz się mozoli.

Machiawel. Czy nie dość jawnem, do czego Filip zdąży?

Regentka. O, ja ich znam na wskrós. — Chciełoby wszystko z gruntu oczyścić i wymieść, a ponieważ sami do tego ręki nie przykładają, to każdy, który z miotłą w ręku się pokaże, zyskuje zaufanie. Zdaje mi się, jak gdybym tu na tej ścianie króla i całą jego przyboczną radę nakreślona widziała.

Machiawel. Tak żywo?

Regentka. Nie braknie i jednego pociągnięcia. I dobrzy ludzie są tam między nimi. Pocziwy Rodryk, pełen doświadczenia i skromności, nie dąży wysoko, ale też niczego nie opuści, coby

go wznieść mogło; otwarty Alonzo, pilny Freneda, nieugięty Las Vargas i jeszcze kilku innych, którzy z nimi ręka w rękę idą, gdy dobra partya górą. — Ale tuż opodal siedzi Toledończyk, z szklannym bez wyrazu wzrokiem, czołem ze spiżu — przenikające wejrzenie jego nabiera ognia, i pełen złośliwości pomrukuje Alba o dobroci i łagodności kobiet, o niewczesnem pobłażaniu, — powiada, że kobiety wprawdzie na ujeżdżonych koniach jeździć mogą, same zaś złymi są koniuszymi i podobne żarty, którym niegdyś z ust tych polityków przysłuchiwać się musiałam.

Machiawel. Do obrazu tego dobrych i trafnych dobraliście kolorów.

Regentka. Przyznaj sam, Machiawelu, iż w całym ciemnym tle mego obrazu żaden z kolorów nie jest tak brunatnożółty jak kolor twarzy Alby. — Każdy u niego jest świętokradcą, zdrajcą majestatu — bo z tego tytułu można każdego wziąć na tortury, na pal wbić, ćwiertować i palić. Com tu dobrego rządami mymi sprawiła, zdała wydaje się niczem, właśnie dlatego, że jest dobrem. Mówi zapewne o każdym wybryku, który popełniono, pamięta najmniejsze rozruchy, które już stłumione, a swe opowiadanie w takie przystraja barwy, iż król widzi przed sobą tylko zdrady, rokosze i wybryki zbrodnicze i sądzi, iż tu jeden

drugiego pożera, podczas gdy szybko przechodząca niesforność nieokrzesanego ludu u nas dawno już poskromiona. Serce jego przepętnione nienawiścią ku tym biednym ludziom — — wydają mu się obrzydliwymi jak dzikie zwierzęta lub potwory — z ogniem i mieczem do nich zawitać zamysła sądząc, iż bezwzględną srogością i okrucieństwem ludzi w karności się trzyma.

Machiawel. Wasza książęca Mość zbyt namiętnie traktuje tę sprawę. Przecież rejencyi się nie rzekacie?

Regentka. Mogłabym ją zatrzymać... a jednak... On przybędzie z instrukcją. W polityce zbyt jestem doświadczona, iżbym wiedzieć nie miała, jak się niejednego usuwa nie odbierając mu urzędu jego. Najpierw okaże mi instrukcję, ta będzie niejasną i dwuznaczną; starać się będzie wszystką władzę w swoim zjednoczyć rękę, bo będzie miał po temu siłę — a kiedy uskarżać się będę na to, będzie się zastaniał tajemną instrukcją, a kiedy będę chciała ją ujrzeć, będzie zwlekał okazanie jej, w końcu, gdy będę stanowczo nalegać, okaże mi jaki świstek, który wcale co innego zawiera — a jeśli i tym się jeszcze nie zadowolę, wówczas zupełnie ignorować mnie będzie i udawać, jak gdybym go wcale o nic nie pytała. — Tymczasem to, czego się obawiam, skuteczni, a to, czego sobie życzę, uniemożliwi.

Machiawel. Chciałbym, lecz nie mogę innego być zdania.

Regentka. To, com ja niewymowną cierpliwością do spokoju przywiodła, srogością i okrucieństwem na nowo rozjątrzy, ujrzę na własne oczy dzieło moje zniszczone — a prócz tego wszelka wina za jego czyny na mnie spadnie.

Machiawel. Niech Wasza książęca Mość wy-czekuje. —

Regentka. Tyle władzy nie mam nad sobą, iżbym spokojnie mogła się przypatrywać. Niech przyjdzie — z godnością, jak najprzejemniej ustąpię mu mą posadę, nim mnie jeszcze z niej wyruguje.

Machiawel. Tak szybko ten ważny zamiar powzięty?

Regentka. Ciężko mi przychodzi, stanowczy krok ten uczynić. — Kto przywykł panować, kto do tego doprowadził, iż w każdym dniu los tysięcy w jego rękę spoczywa, ten schodzi z tronu jakby w grób. Ale lepiej z godnością ustąpić niżli pozostać czezą marą wśród żyjących i pozornie tylko zajmować stanowisko, które inny zajął, w całej pełni posiada i władzę tego urzędu w rzeczywistości wykonuje.

Pomieszkanie Klary.

Klara. Matka.

Matka. Takiej miłości jak Brakenburga nie widziałam, sądziłam, iż taka tylko w piersiach bohaterów żyje.

Klara przechadza się po izbie, przyspiewując z cicha.

A jednak szczęsnym ten się nazywa,
Komu miłością pierś płonie.

Matka. Domyśla się, iż ty Egmonta u siebie przyjmujesz. Mojem zdaniem, gdybyś przyjaźniej wobec niego się zachowywała, ożeniłby się z tobą.

Klara śpiewa.

Kiedy miłością zapłonie serce,
Nie zawsze radość w niem gości,
I częściej biedne żyje w rozterce
Niż w błogiem szczęściu miłości.
Tęskność je trawi, rozpacz zatonie;
Zda się, że w smutkach zatonie;
A jednak szczęsnym ten się nazywa,
Komu miłością pierś płonie!

Matka. Dość tego śpiewania.

Klara. Nie gań mi tego. To piękna piosnka, którą śpiewam, uspiłam nią nieraz i wielkie dziecko.

Matka. W twej głowie nic więcej prócz twej miłości. Żebyś o tej myśląc i o innych rzeczach pamiętała. Otwarcie ci to mówię, Brakenburga

powinnaś szanować, on cię jeszcze kiedyś uszczęśliwić może.

Klara. On?

Matka. Tak, on! Przyjdzie czas ku temu. Wy, dzieci, nigdy o przyszłości nie myślicie, i nie słuchacie wcale przestróg, które wam doświadczenie rodziców udziela. Młodość i uroczą miłość szybko przemija i kończy się — a przyjdzie czas, w którym się Bogu dziękuje, jeśli człek ma własny kąt, gdzie się przytulić może.

Klara wzdryga się, mileży a później stanowczo. Niech chwila ta jak śmierć niechybna nadejdzie nie spodzianie. Myśleć o tem wprzód to okropnie. Jeśli nadejdzie, o! wówczas zmuszeni jesteśmy do niej się zastosować. Egmoncie! Ja miałabym cię kiedyś postradać! Ze złami. Nie! To niemożliwe, niemożliwe.

Egmont owinięty płaszczem hiszpańskim, kapelusz wsunięty na twarz. Klaro!

Klara wykrzyka i cofa się w tył. Egmoncie! Biegnie ku niemu. Egmoncie! RzUCA mu się w objęcia i tuli do niego. Przychodzisz wreszcie? Tyś to — ty to jesteś?

Egmont. Dobry wieczór, matko!

Matka. Bóg zapłać wam, szlachetny panie! Moja mała ledwie nie zginęła z oczekiwania, wygląda was tak długo, dziś znowu dzień cały tylko o was mówiła i śpiewała.

Egmont. Dacie mi jaką wieszczę?

Matka. Za wiele zaszczytu i łaski. Gdybyśmy tylko co miały.

Klara. O! mamy i prosimy. Bądź no spokojna, mateczko, przygotowałam już wieszczę. O! coś dobrego przyrządziłam, tylko mnie nie zdradz, mateczko.

Matka. Wiem naprzód, że bardzo skąpo wypadnie —

Klara. Nie będzie tak bardzo skąpo! Zresztą skoro on przy mnie, wcale głodu nie czuję — więc i on nie powinien mieć wielkiego apetytu, jeśli ja przy nim jestem —

Egmont. Sądziysz?

Klara tapie nogą i odwraca się obrażona.

Egmont. Cóż ci to?

Klara. Ach jakiśże ty dziś zimny! Nawet mi jeszcze nie dałeś całusa. Dlaczego ręce zupełnie w płaszcz owinięte jak małego dziecka? Żołnierz i kochanek powinien mieć ręce zawsze wolne.

Egmont. Luba! I na to czas będzie. Jeśli żołnierz stoi na zasadce w zamiarze odebrania czegoś nieprzyjacielowi — wówczas zgina się, ramiona stula, przemysłiwając nad swym planem. A kochanek —

Matka. Ach, proszę was, raczcie usiąść, rozebrać się — ja muszę iść do kuchni, Klara nie myśli o niczem, gdy wy tu jesteście. — Idę już — ale musicie przyjąć, na co nas stać.

Egmont. Wasza dobra wola najlepszą przyprawą.

Matka odchodzi.

Klara. A czemuż jest moja miłość?

Egmont. Wszystkiem, co chcesz.

Klara. Porównaj ją, jeśli zdołasz —

Egmont. Pierwej jednak — zrzuca płaszcz i staje w przepysznym ubiorze.

Klara. O!

Egmont. A teraz mam wolne ramiona tuli ją do siebie.

Klara. Dość tego, uszkodziś suknię twą odstepuje. Co za pyszny ubiór, nie śmiem się ciebie dotknąć.

Egmont. Zadowolonaś teraz? Obiecałem przyjść do ciebie raz w hiszpańskim stroju.

Klara. Od tego czasu nie prosiłam cię o to więcej, sądziłam, że ci to przykrość sprawia. Ach — złote runo!

Egmont. A więc widzisz je teraz.

Klara. Cesarz ci je zawiesił. —

Egmont. Tak, moje dziecię! Łańcuch i znamię to nadają temu, kto je nosi, najpiękniejsze prawa. Jako rycerz złotego runa nie uznaję na świecie sędziego innego mych czynów — prócz wielkiego mistrza zakonu, który wspólnie z kapitułą rycerzy sądzić mnie może.

Klara. O! Tybyś mógł dozwolić całemu światu, by był twoim sędzią. — Aksamit ten prześliczny,

a co za haft i ozdoby szmuklerskie! Nie wiedzieć, co bardziej podziwiać należy.

Egmont. Napatrzże się do woli!

Klara. A co za prześliczne runo! Opowiadałeś mi raz o jego historii i dodałeś w końcu, iż ono jest oznaką wszystkiego wzniosłego i szlachetnego, czego talentem i mozolną pracą dopiąć i uzyskać można. Ono bardzo kosztowne — mogę je z miłością twoją porównać. Ja również ją koło serca noszę — a znowu —

Egmont. Cóżś chciała powiedzieć?

Klara. A znowu nie da się porównać —

Egmont. A to dlaczego nie? —

Klara. Bo ja na miłość twoją ani pilnością, ani mozołem nie zasłużyłam.

Egmont. W miłości rzecz ma się inaczej. Ty zasługujesz na nią, bo się o nią nie starasz, a zwykle ona tych ludzi udziałem, którzy się o nią nie ubiegają.

Klara. Czyś to z własnego powiedział doświadczenia, czy tę dumną uwagę nad samym sobą uczyniłeś? Ty, którego cały naród uwielbia!

Egmont. Gdybym był tylko dla tego ludu cokolwiek uczynił — gdybym mógł tylko dla niego co uczynić? Dobra wola ich w tem, że mnie kochają.

Klara. Pewnie byłeś dzie u regentki?

Egmont. Tak, byłem u niej.

Klara. Na dobrej stopie z nią iesteś?

Egmont. Tak mi się zdaje przynajmniej. Myśmy dla siebie uprzejmi i obopólnie usłuźni.

Klara. A w sercu?

Egmont. Dobrze jej życzę. Każdy z nas ma swe zamiary, lecz to niczemu nie przeszkadza. Ona jest światłą kobietą, posiada wielką znajomość ludzi i gdyby nie była nieco podejrzliwą, nie możnaby jej odmówić rzadkiej przenikliwości. Wiele jej zatrudnienia przysparzam, gdyż w mem zachowaniu szuka ukrytych tajemnic, a ja ich wcale nie posiadam.

Klara. Żadnych?

Egmont. Jeśli mam jakie, to są one mało znaczące. Każde wino z czasem zostawia na dnie osad. Ks. Orański, ten jej więcej odemnie daje do czynienia. On coraz to innych dostarcza do rozwiązania zagadek — ustalił o sobie opinię taką, jak gdyby zawsze coś skrytego zamierzał. Dlatego nieustannie wpatruje się w czoło jego, by myśli odgadnąć, zważa na kroki, by przeczuć, dokąd on nimi zmierza.

Klara. A umie się ona maskować?

Egmont. Regentka? i ty pytasz o to?

Klara. Daruj, ja chciałam cię pytać, czy ona umie być fałszywą?

Egmont. Nie mniej, ni więcej, jak każdy, który zamiaru swego dopiąć pragnie.

Klara. O! Ja nie umiałabym żyć na wielkim świecie. Ona posiada męskiego ducha, ona inną kobietą, jak my, które tylko szyć i gotować umiemy. Ona jest sławną, mężną i odważną.

Egmont. Jeśli jej nie wielkie zagraża niebezpieczeństwo. Tym razem nieco zaniepokojoną się wydaje.

Klara. A to czem?

Egmont. Usta jej krasi mały wąsik, nieraz miewa napady podagry, prawdziwa amazonka.

Klara. Postać pełna powagi i majestatu. Jaby się bała przed nią stanąć.

Egmont. W innych razach nie jesteś przecież lęklivą. O! wiem, nie byłaby to bojaźń, lecz dziewicza skromność. —

Klara spuszcza oczy ku ziemi, bierze go za rękę, tuląc się do niego.

Egmont. Zrozumiałem cię, moje drogie dziecko, wznieś twe oczy! Całuje jej oczy.

Klara. Zamilknę trzymając cię w mych objęciach i wpatrywać się będę w twe oczy, w których wszystko znachodzę: otuchę i nadzieję, radość i smutek. Obejmuje go i patrzy w niego. O powiedz mi, powiedz, gdyż sama tego pojąć nie mogę, tyżeś to? Egmont, hrabia Egmont, ten wielki Egmont, który tyle podziwu wzbudza, o którym wszyscy mówią, że wszystkie prowincye na niego jako na zbawcę swego patrzą.

Egmont. Nie, Klara, to nie ten Egmont.

Klara. Jakto?

Egmont. Widzisz, Klaro! lecz pozwól mi usiąść usiada, ona kłęczy u nóg jego na stołeczku, ręce splata na jego piersiach, wpatrując się w niego. Ów Egmont jest zgryźliwy, sztywny, zimny, wymuszony i nudny, który na każdy krok swój uważać, raz taką, drugi raz inną minę przybierać musi, zapoznawany, prześladowany i skłopotany wtedy, gdy ludzie sądzą, iż jest bez trosk, swobodnym i wesołym; kochany od ludu, który sam nie wie, czego chce i żądać ma, czczony i na ręku noszony przez tłum, z którym nie począć nie można, otoczony przyjaciółmi, którym zaufać nie może, strzeżony przez ludzi, którzy radziby go zgubić, pracujący ciężko i mozolnie, często bez celu, najczęściej bez nagrody. O dozwól, że zamilknę i nie powiem, jak owemu Egmontowi życie jest trudne i przykre. Ale ten, Klaro, ten Egmont, który przy tobie jest, ten spokojny, otwarty, szczęśliwy, kochany i poznany od najlepszego serca, które on także poznał dokładnie, które z całym zaufaniem, z głęboką miłością do siebie przytula. Obejmuje Klarę. To jest twój Egmont.

Klara. W tem objęciu umrzećbym rada! Świat nie ma innej rozkoszy dla mnie nad miłość twą!

—•••••

Akt IV.

Ulica.

Jetter. Cieśla.

Jetter. He! Pst! Sąsiedzie, na słówko!

Cieśla. Idź swą drogą i bądź cicho!

Jetter. Słówko tylko. Co słyhać nowego?

Cieśla. Nic, prócz tego, iż nam na nowo zabroniono mówić.

Jetter. Jakto?

Cieśla. Podejdzmy ku temu domowi! Miejmy się na baczności. Książę Alba natychmiast po swem przybyciu wydał rozkaz, mocą którego, kto na ulicy w dwójkę lub w trójkę rozmawia, ma być bez śledztwa jako zdrajca państwa osądzony.

Jetter. O biada!

Cieśla. Pod karą dożywotniego więzienia wzbrowionem jest mówić o sprawach państwa. —

Jetter. O nasza wolności!

Cieśla. A pod karą śmierci nie wolno nikomu ganić kroków rządu.

Jetter. O głowy nasze!

Cieśla. Wzywają ojców, matki, dzieci, krewnych, przyjaciół i sług, iżby osobno do tego

ustanowionemu trybunałowi donosili, co się w domach dzieje. Powolnym wielkie obietnice czynią.

Jetter. Chodźmy do domu!

Cieśla. Powtarzam, iż powolni rozkazom ani na majątku ani na sławie, ani na ciele szwanku nie poniosą.

Jetter. Jakże łaskawie! Niedarmo przykro mi się zrobiło, gdym ujrzał księcia do miasta wkraczającego. Od tego czasu zda mi się, jak gdyby niebo czarnym oblokło się kirem i tak nisko nad nami zawisło, iż pochyło iść trzeba, aby nie uderzyć w nie głową.

Cieśla. A jak ci się podobali jego żołnierze? Nie przywykliśmy do widoku tych czerwonych raków.

Jetter. Pfu! Aż się serce człeku ściska widząc tłum ten idący ulicami miasta. Wyprostowani jak świece, z zwrokiem w jeden punkt zwróconym — wszyscy jednakowym chodzą krokiem. A kiedy na strażnicy stoją a ty koło którego blisko przechodzisz, to tak cię zmierzy od stóp do głów, jakby swym wzrokiem przejrzeć cię chciał na wskrós. Wyglądają tak ostro, sztywnie i ponuro, że zda się, że u wszystkich rogów ulic tylko dozorców więzień spotykasz. Wcale nam niepożądani. Nasza milicya to byli weseli ludzie, wprawdzie i ci niejednego pozwalali sobie wybryku, stali rozpięrając się wygodnie, kapelusze na bakier, mina buńczuczna, żyli ze świata

i dla świata, te zaś draby, to istne maszyny, w których dyabeł siedzi.

Cieśla. Jak który zawoła: „Stój“ i zmierzy cię, myślisz, iż ustałby mu kto spokojnie?

Jetter. O, jabym natychmiast ze strachu umarł.

Cieśla. Chodźmy do domu!

Jetter. Niedobrze to się skończy. Bądź zdrow!

Soest nadchodzi.

Soest. Przyjaciele! towarzysze!

Cieśla. Cicho! Rozejdźmy się.

Soest. Wiecie?

Jetter. Aż nadto!

Soest. Regentka odjechała.

Jetter. Litościwy Boże!

Cieśla. Ta nas jeszcze broniła.

Soest. Opuściła nas nagle i w cichości. Nie mogła zgodzić się z księciem. Szlachcie kazała powiedzieć, iż powróci. Nikt temu jednak nie wierzy.

Cieśla. O, niech Bóg panom naszym nie pamięta, iż nam tę nową plagę sprowadzili. Oni mogli tę burzę zażegnać. Przywileje nasze przepadły z kretešem.

Jetter. Na miły Bóg, ni słówka o przywilejach! Czuję w powietrzu zapach krwi. Dzień dzisiejszy przyniesie nam jakąś niespodziankę — słońce zwleka, jak gdyby wcale zejść nie chciało, mgły cuchną.

Soest. Wilhelm Orański także umknął.

Cieśla. A więc zupełnie opuszczeni jesteśmy.

Soest. Hrabia Egmont jeszcze pozostał.

Jetter. Bogu dzięki! Oby go wszyscy święci wspomogli, ażeby czynił, co jest najlepszem dla nas. Ten jeden może, jeśli chce nam pomóc.

Wansen nadchodzi.

Wansen. Przecież znajduję jeszcze kilku, co nie skryli się pod ziemię.

Jetter. Bądź tak grzecznym i wynieś się!

Wansen. Tacy niegrzeczni?

Jetter. Wcale nie pora do komplementów. Czy was znowu skóra świerzbi? Jużście się wylizali?

Wansen. Spytajcie żołnierza o jego rany! Gdybym był zważał na ciosy, nie wyszedłbym był na ucziwego człeka.

Jetter. Te ciosy mogą się stać dotkliwymi.

Wansen. Zdaje się, że przed burzą nikczemna ospałość członki wasze owaładła.

Cieśla. Jeśli nie zamilkiesz, to twoje członki wkrótce w inny ruch wejdą.

Wansen. Nikczemne myszy, co zaraz rozpaczają, gdy gospodarz nowego osadzi kota! Tylko trochę odwagi. Ale szkoda słów. Zachowujmy się jak dawniej, — bądźcie tylko cierpliwi!

Cieśla. Bezczelny z ciebie niepoń.

Wansen. Kumie duraku! Dozwólcie tylko księciu wojować! Stary ten koczur wygląda jak gdyby dyabłów miał myszy pożerać a teraz ich strawić nie mógł. Wpuście go pierwej, niech się

obędzie. On musi także jak inni ludzie jeść, pić i spać. Nie ma się czego obawiać, jeśli z czasu skorzystamy. Z początku rzuci się łapczywie, później pozna, iż lepsze życie w spiżarce wśród polci słoniny i lepiej spać w nocy jak czatować w pustym spichlerzu na nędzne myszki. Muie wierzcie, ja znam namiestników.

Cieśla. Ile to takiemu jak on uchodzi człowiekowi! Gdybym kiedy w życiu mojem był wyrzekł podobne słowa, nie czułbym się i jednej chwili pewnym siebie.

Wansen. Bądźcie spokojni! Wszchemocny w niebie nic o was robaczkach nie wie — a skądże miałyby wiedzieć monarcha!

Jetter. Wyjadaczu przebrzydły!

Wansen. Znam ja niektórych, którymby lepiej było, gdyby zamiast bohaterskiego ducha mieli w ciele żytkę krawiecką.

Cieśla. Co chcesz przez to powiedzieć?

Wansen. Hm, myślę o hrabi.

Jetter. O Egmoncie? Czegoż miałyby się ten obawiać?

Wansen. Ja jestem chudym pachółkiem, co tylko Bogu ducha winien, i mógłbym cały rok żyć tem, co on jednego wieczora straci — a mimo to mógłby mi dać całoroczny dochód, gdyby moją głowę na kwadrans posiadał.

Jetter. A ty piękne o sobie masz wyobrażenie. Ależ przyjacielu, włosy Egmonta więcej mają rozum niżli twoja cała mózgowica.

Wansen. Wolne żarty, mądrzejsze być może, ale nie tak przenikliwe. Panowie zwykli najpierw sami siebie oszukiwać. Niepowinienby ufać.

Jetter. Co on plecie! Taki pan!

Wansen. Właśnie dlatego, że nie jest krawcem!

Jetter. Prostacku przebrzydły!

Wansen. Życzyłbym mu, iżby odwaga wasza choćby na chwilkę w jego członki weszła, iżby go zaniepokoiła, dokuczała, świerzbiała tak długo, dopóki by się nie wyniósł z miasta.

Jetter. Mówisz po głupiemu! On jest tak pewnym jak gwiazda na niebie.

Wansen. Nie widziałeś, że i gwiazdy spadają, niktą i niema po nich śladu?

Cieśla. Któż mu chce co złego uczynić?

Wansen. Kto chce? Czy może ty zechcesz przeszkodzić temu? Może wywołasz powstanie, skoro go uwiężą?

Jetter. A!

Wansen. Czy nadstawicie skórę waszą za niego?

Soest. E!

Wansen wykrzywiając się im. I! O! U! Dziwicie się przez wszystkie litery abecadła! Jak powiadam, źle z nim! Niech go Pan Bóg strzeże!

Jetter. Lęk mnie przejmuje słysząc waszą bezcelną gadaninę. Tak szlachetny i poczciwy mąż miałby się czego obawiać?

Wansen. Łotr wszędzie dobrze wychodzi! Na ławie oskarżonych kpi z sędziów, na krześle sędziowskim z zadowoleniem przemieni oskarżonego w zbrodniarza. — Odpisywałem raz taki protokół, w którym komisarz cesarski pochwałę i nagrodę pieniężną za to od dworu otrzymał, iż uczciwego człeka, na którego złość miano i którego zgubić chciano, tak długo badał i nękał, aż go w zbrodniarza przeistoczył.

Cieśla. To nowe jakieś łgarstwo. Cóż można z człeka wydusić, jeśli on niewinny.

Wansen. O ciotku! Jeśli nie można niczego wydusić, to trza wdusić. Poczciwość czyni człeka nierozważnym i śmiałkiem. Najpierw wypytują zwolna, a podsądny dumny na swą niewinność wygada wszystko bez ogródki, co rozumny zataićby usiłował. Następnie urabia inkwizytor z tych odpowiedzi nowe pytania i dobrze zważa, iżby schwycił na sprzeczności, zarzuca więc stryczek, a jeśli głuptaś dał się złapać, wypowiadając raz za wiele, drugi raz za mało, lub też, że Bóg wie z jakiej przyczyny przepomniał jakąś okoliczność a w końcu dał się zastraszyć! O, wówczas zbrodnia zarzucona jest udowodnioną. I zapewniam was, z większą troskliwością gałganiarka z kupy śmiecia szmat nie

wyszukuje, jak taki fabrykant łotrów z nie nie znaczących, wymęczonych, ogólnie znanych, głupich, zaprzeczonych donosów i okoliczności wybudowuje wielkie słomiane straszdyło na ptaki, abymóżna obżałowanego przynajmniej in effigie powiesić, — a Bogu dziękować powinien jeszcze ten, któremu dane, iżby na szubienicy sam siebie się przypatrywał.

Jetter. To nie lada jęczyzek.

Ciesła. Z muchami możeby wam się udało. Trutnie wysmiewają wasze siecie.

Wansen. Za którymi pająki się znajdują. Patrzcie — wysoki ksiązę całkiem ma postać krzyżowego pająka, nie grubobrzusznego, ten mniej szkodliwy, lecz takiego długonożnego, waziotkiego, który z żeru nie tyje i bardzo cienkie nitki przędzie, które jednak tem mocniejsze.

Jetter. Egmont jest rycerzem złotego runa, któż poważy tknąć go? Tyłko jemu równi jego sędziami być mogą, to jest zakon rycerski. Twoja złośliwa gęba i złe sumienie pobudzają cię do takiej mowy.

Wansen. Czyż ja miałbym mu co złego życzyć? Mówię, jak mi serce każe, i sądzę, iż mam słuszność. Egmont jest poczciwym panem. Kilku moich dobrych przyjaciół, którychby kto inny już dawno był powiesić kazał wypuścił cało, dając każdemu na drogę tylko kilkanaście kijów. No! rozejdźcie się, rozejdźcie. Ja sam wam

tego doradzam. Zdala widzę posterunek zbliżający się ku nam a nie wyglądają ci Hiszpanie, jakby z nami w kielichy uderzyć chcieli i pić braterskie zdrowie. Wyczekujmy przyglądając się z założonemi rękami. Mam kilka siostrzenic i wuja szynkarza, jeśli oni tej strawy pokosztują i tam się nie złagodzą i oswoją, ha, wówczas powiem, iż to wypchane wilki, a nie ludzie.

Kulenburski Pałac. — Pomieszkание księcia Alby.

Sylwa i Gomez schodzą się w sali.

Sylwa. Wykonałeś rozkazy księcia?

Gomez. Co do słowa. Wszystkim posterunkom dziennym nakazano o oznaczonym czasie w rozmaitych miejscach, które im wskazałem, zejść się — obecnie przechadzają się po mieście jak zwykle dla utrzymania porządku. Jeden o drugim nie wie, każdy z nich sądzi, iż rozkaz jego samego tylko dotyczy, a w jednej chwili można cały łańcuch ściągnąć i wszystkie wyjścia z pałacu będą obsaczone. Wiesz, dlaczego wydano ten rozkaz?

Sylwa. Przywyłem na ślepo służyć rozkazów. I kogoż chętniej służyć należy jak nie księcia, skoro wkrótce wynik okazuje, iż rozkaz był rozumnym wydany.

Gomez. Dobrze! Dobrze. Wcałe się nie dziwię, iż stajesz się skrytym i małowownym jak on, będąc zawsze u jego boku. Dla mnie nieprzyjemną jest ta służba, jestem bowiem przyzwyczajony do lżejszej włoskiej służby. Co się tyczy wierności i posłuszeństwa, to zachowuję je święcie, nawykłem jednak do swobodnej pogadanki. Wy zaś siedzicie jak mruki, mówieniem nie sprawując sobie żadnej ulgi. Książę zdaje mi się spiżową wieżą bez bramy, wieżą, której skrzydłami jest załoga. Onegdaj słyszałem, jak się książę wyrażał o pewnym wesołym i przyjemnym człeku, iż on jest jak nędzna szynkownia z wiszącą nad nią wiechą, która sciąża próżniaków, żebraków i złodziei.

Sylwa. Czyż w ciągu długiego pochodu wyrzekł choć słowo?

Gomez. Tak, to prawda. Kto był świadkiem jego rozsądku, kiedy z Włoch armię tu przyprowadził, ten miał sposobność poznać go bliżej. Jak się przez szeregi przyjaciół i nieprzyjaciół, Francuzów, królewskich sprzymierzeńców, kacerzy, szwajcarów i wojska związkowe prześlizgnął, najostrejszą karność wprowadził i wyprawą, którą uważano za tak niebezpieczną, bez trudu pokierować umiał! Widzieliśmy niejedno a zarazem nauczyliśmy się wiele.

Sylwa. A i tu czyż nie spokojnem i cichem wszystko, jak gdyby żadnego nie było rokoszu?

Gomez. Nim przybyliśmy, po większej części panował tu już spokój!

Sylwa. W prowincjach jeszcze spokojniej, a jeśli się kto ruszy, to tylko na to, aby zemknąć, lecz i tym wkrótce zdaniem mojem zamknemy przejścia.

Gomez. Teraz to dopiero pozyska książę łaskę królewską.

Sylwa. A nam o nic bardziej starać się nie należy jak, abyśmy jego łaskę sobie zaskarbiali. Jeśli król tu przybędzie, wynagrodzi pewnie księcia i każdego z nas, którego mu książę do nagrody przedstawi.

Gomez. Myślisz, iż król tu przybędzie?

Sylwa. Tyle ku temu robią przygotowań, iż zdaje się być prawdopodobnem.

Gomez. O, mnie nie zwiodą.

Sylwa. Jeśli nawet król nie ma zamiaru tu przybyć a życzy sobie, iżby wierzono, że przybędzie, to niepowinieneś w ten sposób mówić.

Ferdynand, naturalny syn Alby, przychodzi.

Ferdynand. Czy ojciec mój jeszcze nie wyszedł z swych pokoi?

Sylwa. Dotąd go oczekujemy.

Ferdynand. Wkrótce przybędą książęta.

Gomez. Dziś mają przybyć?

Ferdynand. Egmont i książę Orański.

Gomez półgłosem do Sylwy. Zaczynam pojmować.

Sylwa. Spostrzeżenia swe dla siebie zachowaj!

Książę Alba. W chwili, gdy książę wchodzi i ku scenie postępuje, rozstępują się Gomez, Sylwa i Ferdynand.

Alba. Gomez!

Gomez zbliża się. Panie!

Alba. Straże podzieliłeś i porozstawiałeś?

Gomez. Najdokładniej. Posterunki dzienne..

Alba. Dość! Będziesz czekał w galerii. Sylwa powie ci, kiedy masz je ściągnąć i przystęp do zamku obsaczyć. Reszta ci wiadoma.

Gomez. Tak, panie!

Alba. Sylwa!

Sylwa. Jestem na rozkazy!

Alba. Wszystko, co kiedykolwiek w tobie ce- niłem: odwagę, męstwo, niewstrzymane i do- kładne wypełnianie poleceń — to wszystko dziś okażesz!

Sylwa. Dziękuję, książę, iż mi dajesz spo- sobność złożenia dowodu, żem w niczem się nie zmienił.

Alba. Skoro tylko książęta tu wejdą, wówczas spiesz natychmiast uwięzić sekretarza Egmonta. Czy zarządziłeś, aby wszystkich tych, których wskazano, również uwięzić?

Sylwa. Zaufaj mi! Przeznaczenie dotknie ich jak dokładnie obliczone zaćmienie słońca — z prze- rażającą ścisłością.

Alba. Czy nakazałeś, by ich pilnie śledzono?

Sylwa. Wszystkich, najbardziej jednak Egmonta. On jeden, który od czasu jak tu książę bawisz,

nie zmienił swego postępowania. Cały dzień na koniu, sprasza gości, zawsze wesół, i zabawia- jąc się ochoczo przy ucztach, rzuca kostki, strzela do celu a wieczorem dąży do swej łubej. Inni widocznie zmienili zwykły tryb życia, przesia- dują w domu, a przed ich mieszkańiami grobo- wa cisza, jakby wewnątrz był chory.

Alba. Dlatego rażno do dzieła, nim wbrew naszej woli wyzdrowieją!

Sylwa. Dostawię ich. Według twego rozkazu jesteśmy dla nich usłużni i czynimy wszelkie honory. Oni wewnątrz drżą — lecz dla polityki niepewni i trwożliwi dziękują nam. Sądzę je- dnak, iż sami są tego przekonania, że najlepiej- by było dla nich umknąć, mimo to żaden z nich nie odważa się kroku postąpić, wahają się, nie mogą się połączyć, a na własną rękę, pojedyn- czo coś rozpoczynając odradza im zdrowy rozsądek. Radziby wszelkie podejrzenie od siebie odsunąć i tem właśnie wzmacniają podejrliwość naszą. Z radością widzę już cały plan twój ziszczone.

Alba. Ja cieszę się tylko z rzeczy dokonanych i z tego jeszcze nie zupełnie, gdyż zawsze pozostaje jeszcze bardzo wiele, co wymaga na- szej szczególnej bacności i troski. Szczęście jest dziwaczne. Często pospolite i niegodne usla- chetnia zamiary a dokładnie obmyślane plany nadzwyczajnym nie uwieńcza skutkiem. Pozostają tu, aż książęta przybędą! Wówczas rozkaż Go-

mezowi, aby wszystkie ulice wiodące do pałacu wojskiem obsadził, a sam spiesz się sekretarza Egmonta i innych, których ci wskazano, uwięzić. Skoro to nastąpi, przybędziesz tu i uwiadomisz o tem syna mego, który mi o tem poda wiadomość na posiedzeniu rady.

Sylwa. Spodziewam się, iż będę mógł wieczorem śmiało stanąć przed księciem.

Alba idzie ku synowi, który dotychczas stał w galeryi.

Sylwa. Sam przed sobą boję się wyznać, że nie bardzo ufam w pomyślny skutek. Obawiam się, że nie stanie się po jego myśli. Widzę przed sobą unoszące się duchy, które chmurą zamyslenia otoczone, w milczeniu, w ręku swem dzierżą czarną wagę losu książąt i wielu tysięcy ludu. Zwolna chwije się waga tam i napowrót, nader głęboko zdają się być zamysłeni sędziowie, wreszcie wznosi się jedna szala, a druga w głąb opada tknięta przeznaczenia ręką i wyrok już zapadł. Odechodzi.

Alba i *Ferdynand* zbliżają się ku scenie.

Alba. Jakże wygląda miasto?

Ferdynand. Zda się, jak gdyby wszystko poddało się groźnej przewadze. Przejeżdżałem dla zabicia czasu ulicami, nikt nawet szeptać się nie odważa. Wasze gęsto rozstawione stráže wszystkich w trwodze utrzymują. Miasto podobne do pola, kiedy zdala straszliwa burza łąskiem zapowiadając się powoli zbliża się, nawet pactwo

i zwierzęta nie inaczej jak tylko chyżym lotem do kryjówek swych dążą.

Alba. Nie zeszełś się z nikim?

Ferdynand. Na rynku widziałem Egmonta konno w towarzystwie kilku przyjaciół. Przywitaliśmy się, jechał na dzikim, nieokiełzanym koniu z taką pewnością, iżem chwalić musiał jego odwagę. — Spieszmy się ujeżdżać konie, gdyż ich wkrótce potrzebować będziemy, powiedział mi, a dalej mówił, że dziś jeszcze widzieć się ze mną będzie — wezwany przez was do rady.

Alba. Będzie cię widzieć.

Ferdynand. Z całej tutejszej szlachty, którą poznałem, on jeden mi się podobał. Zdaje mi się, że będziemy przyjaciółmi.

Alba. Zawsześ prędki i nie ostrożny — zawsze poznaję w tobie matki twej lekkomyślność, która ją bezwarunkowo oddała w moje ramiona. Pozory skłoniły cię już do niejednego niebezpiecznego stosunku.

Ferdynand. Woli waszej poddaję się zupełnie.

Alba. Ze względu na twą niedoświadczoną młodość przebaczam tej lekkomyślnej skłonności. Miej zawsze w pamięci, ku spełnieniu jakiego dzieła ja tu przysłany zostałem i jaki udział w niem tobie przeznaczyłem.

Ferdynand. Przypominaj mi, ojcze, i nie po-
błażaj, jeśli to koniecznem uważasz.

Alba po chwili. Synu mój!

Ferdynand. Ojciec mój!

Alba. Wkrótce przybędą do mnie książęta — książę Orański i Egmont. Nie brak to zaufania, iż dopiero teraz zwierzam ci się z tem, co nastąpić ma. Oni stąd nie odejdą więcej.

Ferdynand. Cóż z nimi uczynić zamierzasz?

Alba. Postanowiłem uwięzić ich! Ciebie ogarnia zdziwienie. Posłuchaj, co czynić masz. Powody wyłuszczyć ci wówczas, kiedy wykonanie nastąpi. Teraz niema czasu ich rozbierać. W tej chwili chcę mówić z tobą o sprawach wielkiej doniosłości i nader tajemnych. Silny węzeł łączy nas obopólnie. Ty jesteś mi drogi i kochany, na ciebie chciałyby wszystko przelać. Zamiarem moim nauczyć cię nie tylko ślepego posłuszeństwa, lecz chciałyby ci także wpoić zmysł działania samostanego, a tem samem przekazać tobie wielką spuściznę mego stanowiska i sławy — królowi ukształcić najwierniejszego sługę. Chciałyby wyposażać cię tem, co mam najlepszego, iżbyś się nie potrzebował wstydzić wśród twych braci.

Ferdynand. O! ileż za tę miłość winien ci jestem, za miłość, którą ty jedynie ku mnie czujesz, gdy całe państwo przed tobą drżą.

Alba. Lecz posłuchaj pierwej, czego od ciebie żądam. Skoro tylko książęta wejdą, wszystkie wejścia do pałacu zostaną zamknięte. Gomez otrzymał w tej mierze potrzebne rozkazy. Sylwa uda się spiesźnie do mieszkania Egmonta, uwięzi

tam sekretarza jego i innych podejrzanych. Ty będziesz przewodził strażę u bram i w dziedzińcu. Przedewszystkiem obsadzisz przyległe tej sali pokoje ludźmi, na których liczyć można. — Czekać będziesz w galerii, póki Sylwa nie wróci, i przyniesiesz mi świstek jakiegobądź papieru na znak, iż on wypełnił dane mu zlecenia. — Następnie zaczekasz w przyległym gmachu, a skoro książę Orański stąd wyjdzie, pójdiesz za nim. Ja zaś zatrzymam tu Egmonta pod pozorem, że mam mu jeszcze coś do powiedzenia. Przy końcu galerii zażądasz szpady od księcia Orańskiego, zawołasz na straż i ukryjesz szybko najniebezpieczniejszego człeka tego — a ja Egmonta uwiężę tu.

Ferdynand. Będę posłuszny, mój ojciec, po raz pierwszy z bolem i niepokojem w sercu.

Alba. Przebaczam ci tę słabość; pierwsza to wielka i stanowcza chwila w twojem życiu.

Sylwa wchodzi. Postaniec z Antwerpii z listem od księcia Orańskiego! Książę nie przybędzie!

Alba. Powiada to postaniec?

Sylwa. Nie — przeczucie mi to mówi.

Alba. Z ciebie przemawia demon mego żywota. — Przeczytawszy list daje obydwom znak ręką a ci odstepują w głąb galerii. Alba pozostaje sam na przodzie sceny. On nieprzybędzie! Do ostatniej chwili zwlekał z swem oświadczeniem. Nie ma odwagi przybyć!

A więc wbrew przypuszczeniu rozsądny był o tyle rozsądnym, iż tym razem nie poszedł za głosem rozsądku. Zegar posuwa się coraz dalej, wskazówka małą tylko drogę ma przed sobą i wielkie dzieło albo spełnione zostanie, albo spełznie na niczem i to raz na zawsze, gdyż ani później dokonać ani ukryć go nie można. Od dawna przemysliwałem nad wszystkim dokładnie i ten wypadek dopuszczałem, rozważyłem, co i w tym razie czynić należy. A teraz kiedy nadchodzi chwila wykonania, zaledwie zdołam w sobie stłumić głosy, które za i przeciw wykonaniu tego planu przemawiają. Mamże i innych powięzić, gdy on mi uchodzi? Jeśli to odłożę, dozwolę Egmontowi z podobnymi sobie uciec — gdy oni może dziś tylko są w moim ręku. Tak więc i mną nieugiętym kieruje ślepe przeznaczenie. Tak długo przemysliwałem! Tak wszystko dobrze ułożyłem. Jak wielkim i pięknym plan mój — tak bliską była nadzieja spełnienia, a teraz w rozstrzygającej chwili cokolwiek uczynię, złem będzie. Jak w urnę losową zagłębiasz się w ciemną przyszłość — los, który ująłeś — jeszcze zwinięty, nie wiesz, czy czeka cię wygrana lub przegrana. Staje, przysłuchuje się i zbliża się do okna. To on! Egmont. Jakże lekko unosi cię koń twój — nie zżyma się przed zapachem krwi, nie uląkł się wobec posępnych widm uzbrojonych w gołe miecze, które u podwoi bram

pana jego witają. Zsiada z konia! Teraz jedną nogą w grobie, a teraz obydwoma. Tak, głaskaj go i klep po szyi w nagrodę za dziarską usługę, którą ci po raz ostatni oddał. — A mnie nie pozostaje już nic innego do wyboru. W podobnym zaślepieniu jak dziś nie odda mi się po raz drugi Egmont! Baczność! Ferdynand i Sylwa spiesznie postępują ku Albie. Czyńcie, co wam rozkazałem, po stanowienia mego nie zmieniam. Jak długo zdołam, zatrzymam Egmonta, to jest dopóki mi nie przyniesiesz wiadomość od Sylwy. Potem zostań w pobliżu! Do Sylwy. I tobie wydiera przeznaczenie wielką zasługę, pojmać własną ręką największego nieprzyjaciela króla. Spiesz się! Do Ferdynanda. Idź na jego spotkanie. Alba pozostaje przez czas jakiś sam i przechadza się po scenie.

Egmont wchodzi.

Egmont. Powolny życzeniu waszemu przychodzę usłyszeć rozkazy króla, usłyszeć, jakiej usługi pan mój od wierności naszej wymaga, którą zawsze w sercu mem dla niego żywię.

Alba. Przedewszystkiem chciałby król waszej zasięgnąć rady.

Egmont. W jakiejże sprawie? Czy książę Orański przybędzie także? Sądziłem, iż go tu już zastanę.

Alba. Przykro mi, iż właśnie w tak ważnej chwili nam go brakuje. Waszej rady, zdania waszego usłyszeć król pragnie, w jaki sposób za-

dowolić ten kraj. Król liczy na współdziałanie wasz, tuszy on, iż wy szczerze do tego przyczynicie się, iżby rozruchy te uśmierzyć i porządek w prowincjach zupełnie i na długo utrwalić.

Egmont. Przecież wiadomem ci lepiej jak mnie, iż prowincje te zupełnie spokojne, a co więcej, że bardziej spokojnymi były przed twym przybyciem jak obecnie — ileż pojawienie się siły zbrojnej nową trwogą i niepokojem napełniło umysły wszystkich.

Alba. Zda się, że chcesz mi dać do poznania, iż król byłby najlepiej uczynił, gdyby mi nie był nadarzył sposobności mówienia z tobą.

Egmont. Daruj, jeśli cię uraziłem. Czy król miał wystać armię — czy bardziej obecność jego — potęgą królewskiego majestatu silniejszy wpływ byłaby wywarła na uspokojenie umysłów w kraju — nie moją rzeczą rozsądzać. — Musimy liczyć się z faktami: wojska królewskie wkroczyły w prowincje nasze — król zaś nie przybył. — Lecz musielibyśmy być krótkiej pamięci i niewdzięcznymi, gdybyśmy zapomnąć zdołali to, cośmy regentce winni. Uznajemy to wszyscy, iż ona swem rozsądnem i dzielnym zachowaniem uspokoiła przewódców rokoszu, siłą, powagą i przebiegłością ku podziwowi świata w kilku miesiącach przywiodła zbuntowany naród do swych powinności.

Alba. Nie przeczę, iż rokosz stłumiony i zda się, jak gdyby każdy w karby posłuszeństwa ujęty został. Lecz czy złamanie posłuszeństwa tego nie zależy od czyjejkolwiek samowoli? Kto zdoła wstrzymać niesforny lud od nowego buntu? Gdzie siła, odwieść go od tego? Któż nam zaręczy, iż pokorni na pozór, na przyszłość wiernymi poddanymi pozostaną? Dobra ich wola całą naszą rękojmią.

Egmont. A czyż dobra wola ludu nie jest najpewniejszą i najlepszą rękojmią? Zaprawdę — kiedyż monarcha bezpieczniejszym czuć się może, pewniejszym wobec zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół jak wówczas, kiedy wszyscy za jednego i jeden za wszystkich poświęcić się go towi.

Alba. Przecież nie zechcesz wmówić we mnie, że taki stosunek tu w kraju panuje. —

Egmont. Król niech wyda powszechne ułaskawienie, tem uspokoi do reszty umysły i wkrótce obaczymy, jak przywiązanie i miłość z zaufaniem wzrosną.

Alba. A każdy, który majestat królewski, świętość religii znieważył, miałby wolny od wszelkiej winy i kary tam i sam się przechadzać, żyć dla drugich jako widoczny przykład, że najstraszniejsze zbrodnie uchodzą bezkarnie. —

Egmont. Czy zbrodnie wynikię z głupoty i szafu pijaństwa nie należy raczej usprawiedliwiać jak srogo karać? zwłaszcza tam, gdzie nie złudna zachodzi nadzieja, gdzie pewność istnieje, iż to nie powtórzy się więcej? Czyż dlatego monarchowie mniej byli pewni? Czyż świat cały i potomność nie uwielbiały tych, którzy ujmę wyrażone ich majestatowi wspaniałomyślnie darowywali, ubolewając nad tymi, którzy je wyrażdźli, i gardząc nimi. Takich królów stawiają na równi z Bogiem, który za wielki, by mu bluźnierstwo ujmę przynieść mogło.

Alba. Właśnie więc dlatego powinien król w obronie majestatu boskiego i świętości religii, my zaś w obronie powagi królewskiej walczyć. Gdzie król wzgardą przejęty sam działać nie chce, tam my mścić się powinni. Według mego zdania bezkarnie nie powinien ująć żaden winowajca.

Egmont. Czy sądzisz, iż ramię twe wszystkich dosięgnie? Czyż nie słyszemy codzien, iż trwoga wypędza ich z kraju i po całym świecie rozprósza? Najzamożniejsi ują, zabierając z sobą dobytki swe, dziatwę, krewnych i przyjaciół, biedny zaś ujdzie tak, że i pożyteczną pracę swą przeniesie w sąsiednie kraje.

Alba. Uczynią to, jeśli się im nie przeszkodzi. Dlatego też żądaniem króla jest, iżby każdy

z książąt radą i czynem go wspierał, iżby namiestnicy energicznie urząd swój piastowali, nie zaś, iżby go zabawiano opowiadaniem, jak rzeczy stoją i jaki obrót by wzięły, gdyby dalej wszystkiemu pobłażano jak dotąd. — Przypatrywać się ogromowi złego, ludzi nadziejami, czasowi rozstrzygnięcie pozostawiać, pozwalać sobie szalonych wybryków karnawałowych, które ogół oklaskami przyjmuje, udawać, iż się coś dzieła, podczas gdy chętnie z założonemi siedziałoby się rękami, czyż nie budzi to podejrzenia, iż się przypatruje buntowi z zadowoleniem, czyż nie wygląda to — jakby się chciało — iżby bunt wprawdzie nie wzmagał się — jednak nieustannie wicherzył.

Egmont oburzony — ochłonał jednak z gniewu i mówi po chwili ze spokojem. Nie każdy zamiar jest jasnym i widocznym i nie jednego człeka zamiary podejrzyc należy. Naprzykład słycać zewsząd, iż królowi mniej na tem zależy, iżby krainy te wedle wszystkim zrozumiałej — rodzimej ustawy rządzić, mniej na tem zależy, by zapewnić powagę i świętość religii i wiecznym pokojem obdarzyć swych poddanych, jak by lud bezwarunkowo ujarzmić, dawnych praw pozbawić, majętności ich zabrać, owe piękne przywileje szlachty ograniczyć, przywileje, dla których jedynie szlachta mu służy, życie i mienie oddać gotowa. — Powiadają, iż religia jest tylko misternym kobier-

cem, za którym wygodnie wszelkie zamachy na wolność narodu knuć można. Lud na klęczkach modli się do wyszytych na kobiercu obrazów, a z tyłu czatuje ptasznik, który go w sidła ułożyć pragnie.

Alba. Z twoich ust to słyszeć muszę?

Egmont. Nie moje to zdanie! Lecz są to słowa, które tu i owdzie, tak wiele jak i mali, rozsądni i głupcy wymawiają i rozszerzają. Niderlandczycy obawiają się podwójnego jarzma, a któż im wolność ich zapewni?

Alba. Wolność? Piękny wyraz, lecz dla tego tylko, kto go pojąć zdoła. Jakieżże wolności obywatele tego kraju żądają? Co jest prawdziwą wolnością? Dobrze czynić — tego król nikomu nie wzbrania. Nie, nie o to im chodzi. Mniemają oni, że nie są wolnymi, jeśli sobie i drugim szkodzić nie mogą. Czyż nie lepiejby było wyrzec się korony jak być monarchą takiego ludu? Jeśli zewnętrzny nieprzyjaciel granice państwa nachodzi, nieprzyjaciel, o którym żaden obywatel nie myśli zajęty tylko swemi sprawami — a król żąda pomocy — wówczas wybuchą wśród nich niezgoda i niejako z nieprzyjacielem wespół spiskują. — Daleko lepiej jest wziąć ich w karby tak, iżby nimi jak dziećmi kierować można, jak dzieci do dobrego nakłaniać. Wierzaj mi, lud nigdy w lata nie wzrasta,

rozsądniejszym się nie staje, lud trwa wiecni w dziecięcej niemocy.

Egmont. Daleko rzadziej przychodzą królowie do poznania. I czyż nie powinno wielu, raczej wielom jak jednemu zaufać? Lud nie może zaufać jednemu królowi ani tym, którzy obok tego monarchy rządzą; ufając sam sobie, dojrzewa on w obliczu monarchy do samodzielności.

Alba. Dlatego może, że nie jest sam sobie pozostawiony, dojrzewa.

Egmont. I dlatego też nikt nie rad na ślepo oddawać sam siebie w opiekę cudzą. Czyń, co ci się podoba. — Zapytany powiedziałem ci zdanie moje i powtarzam raz jeszcze: zamiary twe nie udadzą się — nie mogą się udać! Ja znam moich ziomków. Są to męże godni być obywatelami tej ziemi, każdy z nich samoistny pan na swem obojętnym, niewzruszonym, pracowitym, zdolnym, wiernym, przywykłym do dawnych cnót. Trudno jest pozyskać ich zaufanie, łatwo utrzymać. Uparci i niewzruszeni dadzą się ciemieżyć, ale nie ugiąć.

Alba który podczas tych słów kilka razy się ogłębła. Czy wypowiedziałbyś to wszystko w obecności króla?

Egmont. Tem gorzej dla mnie, gdyby obecność jego mnie od tego odstraszała — tem lepiej dlań i dla ludu jego — gdyby mnie ośmielił i otu-

chy dodał, iżbym mu jeszcze więcej wypowiedzieć mógł.

Alba. Co jest z pożytkiem dla niego i dobrem dla kraju, mogę i ja usłyszeć.

Egmont. Powiedziałbym mu: łatwo pasterzowi pędzić trzodę owiec przed sobą, wół wlecze bez oporu ciężki pług, lecz kto na szlachetnym chce jeździć rumaku, musi zgadywać myśli jego, nie może od niego żądać czegoś nierozsądnego lub nierozsądnie żądać. — Dlatego też jest życzeniem obywateli tego kraju, iżby dawne ustawy zachowane były, życzeniem, iżby nimi własni ich rodacy rządili, gdyż wówczas mogą się oni spodziewać wyrozumiałości, sprawiedliwości i współczucia w niedoli.

Alba. A czyż monarsze nie przysłużyła prawo zmienić te zastarzałe zwyczaje — i czy władza zmieniania wszelkich ustaw i przywilejów nie jest najpiękniejszą prerogatywą monarchy? Na tym świecie niema nie stałego a miałożby urządzenie państwowe wiecznie się ostać? Czyż ze zbieganiem czasu nie zmieniają się wszystkie stosunki i właśnie dlatego zastarzała ustawa jest przyczyną tysiąca złego, gdyż obecnego stanu narodu objąć i ocenić niezdolna, nie będąc do stosunków terażniejszości zastosowaną? Zda mi się, że te dawne ustawy dlatego tak drogiemi są, bo zawierają wiele dwuznaczności i wybie-

gów, których rozsądny a potężny ze szkodą ludu i ze zgubą ogółu nadużywać lub przekreślać może.

Egmont. Te samowolne zmiany, te ciągłe zamachy najwyższej władzy na prawa i wolności nasze, nie sąż to zwiastuny samowładztwa? Król jeden chce być samowolnym, iżby mógł każde swe życzenie zadowolić, każdy powzięty zamiar bezwzględnie wykonać. Przypuszczam, że my uwzględniając obecnego króla naszego przymioty, oddamy mu tę nieograniczoną władzę w ręce, ależ jeśli my jemu, dobremu i światłu królowi, zupełnie zaufamy, jakąż on nam porękę daje za swych następców, iż żaden z nich bezwzględnie i bez dbania o dobro kraju nami rządzić będzie? Gdy to nastąpi, któż wówczas ochroni nas od zupełnej samowoli, któż nas ochroni, jeśli on nasze nam do kraju służalców swoich, najbliższych swoich, którzy bez znajomości stosunków kraju, jego potrzeb, według widzimisię swego rządzić i rozkazywać będą, o żadnym oporze wiedzieć nie zechcą i bez wszelkiej odpowiedzialności u steru stać będą!

Alba który powtórnie się ogląda. Nie naturalniejszego, jeśli monarcha przez drugich rządzić chce i tym najchętniej zastępstwo swe porucza, którzy go najlepiej pojmują, pojmować chcą i którzy bezwarunkowo rozkazów jego dopełniają.

Egmont. A również naturalnem jest, iż obywatel przez tegoż rządzonem być pragnie, który z nim wzrósł i wychował się — równe z nim dzieli pojęcia o prawie i słuszności i którego za brata uważać może.

Alba. A przecież szlachta nie bardzo po bratersku z braćmi tymi władzą się dzieliła.

Egmont. Ten nierówny podział władzy przed wiekami zdziałany — jako zupełnie znośny dziś bez wszelkiej zawiści jest cierpianym. Lecz gdyby nastano bez potrzeby ludzi obcych temu krajowi, którzy po raz wtóry kosztem ludu wzbogacićby się chcieli i gdyby z tej strony nieubłagana, bezwzględna — i że tak rzekę, bezczelna chciwość majątkom obywateli zagrażała, — wówczas wywołałoby to burzę, którą nie tak łatwo uśmierzyc by zdołano.

Alba. Mówisz mi, czego słyszeć niepowinienem. I ja jestem obcym temu krajowi. —

Egmont. W tem dowód najlepszy, że nie miałem ciebie na myśli.

Alba. Gdyby nawet tak być miało, nierad z ust twoich to słyszę. Król wysłał mnie w tej nadziei, że szlachta w zamysłach mych wspierać mnie będzie. Król wolę swą bezwzględnie przeprowadzić chce, po dłuższym namyśle uznał on, czego lud ten potrzebuje. Postanowieniem króla jest, lud ten dla jego własnego dobra ograniczyć, ująć

w karby, własne dobro, jeśli to być musi, gwałtem mu narzucić, szkodliwych obywateli poświęcić, iżby reszta pokój uzyskała i z błogich owoców rozsądnego panowania korzystać mogła. — To jest jego postanowienie, które polecił mi szlachcie obwieścić, a ja w imieniu jego żądam rady, jak to uczynić należy, nie zaś, co czynić, gdyż to już sam postanowił.

Egmont. Niestety usprawiedliwiają twoje słowa obawę ludu — obawę ogółu. A więc postanowiono, czego żaden monarcha postanowić niepowinien. Chce on potęgę wewnętrzną, ludu, jego ducha, poczucie samoistności osłabić, stłumić i wytępić — iżby mógł wygodnie nim kierować, chce król pozbawić lud wszelkiej wolności, iżby stał się martwym przedmiotem bez poczucia samoistnego rozrządzania sobą, chce król, iżby moi wolni rodacy — stali się czemś innem jak byli dotychczas. — O! jeśli zamiary króla dobrymi są, to wykonanie ich wypaczy je. — Nie osobie monarchy rodacy moi opór stawiają, lecz królowi, który pierwsze kroki na zgubnej i fałszywej stawia drodze.

Alba. O ile twe usposobienie zbadać mogłem, zda mi się niemożliwem, iżbyśmy się zgodzić mogli. — Zdanie twoje lekceważy monarchę, ubliża doradcom jego — skoro powątpiewasz, iżeśmy to wszystko nie badali, nie zgłębiali i nie rozważali. Nie polecono mi, iżbym raz jeszcze

powody za i przeciw przemawiające z tobą roztrząsał, co i jak czynić należy. Postuszeństwa żądam od ludu, a od was najszlachetniejszych i na czele narodu stojących — wymagam czynu i rady jako rękojmi tej bezwarunkowej powinności.

Egmont. Zażądaj od nas zarazem, byśmy głowy nasze pod miecz katowski oddali, wówczas nie będziesz miał podwójnego zachodu. Bądź pewnym, że dla każdej szlachetnej duszy jest tem samem, uchylić kark pod tem jarzmem niewoli, jaką mu gotujesz lub pod mieczem katowskim skonać. Widzę, że daremne były słowa moje, poruszyłem niemi tylko powietrze, prócz tego nic nie osiągnąłem.

Ferdynand wchodzi.

Ferdynand. Darujcie panowie, iż wam przezywam. Oto list, którego posłaniec domaga się natychmiastowej odpowiedzi.

Alba. Pozwól, iż przejrzę, co zawiera odchodzi na stronę.

Ferdynand do *Egmonta*. Piękny to koń, na którym wracać masz, a którego właśnie służba twoja przywiódła.

Egmont. Nie zgorzsy — mam go już dość długo i radbym go zbyć. Jeśli ci się podoba...

Ferdynand. Zobaczę później.

Alba daje znak *Ferdynandowi*, który w głąb się cofa.

Egmont. Bądź zdrow! Pozwól, że odejdę. Zaprawdę bowiem nie wiem, cobym ci miał jeszcze powiedzieć.

Alba. Na szczęście przypadek przeszkodził ci odkryć zupełnie zdradzieckie twoje zamysły. Nieostrożny otwarłeś ciemne kryjówki serca twego i oskarżyłeś sam siebie bardziej, niżliby to najzaciętszy nieprzyjaciel twój uczynić zdołał.

Egmont. Zarzut ten mnie się nie tyczy. Znam siebie dokładnie i wiem, iż w zupełności oddany jestem królowi — bardziej jak wielu innych, którzy w jego służbie bardziej sobie niż jemu służą. Niechętnie opuszczam cię, widząc spór ten między nami niezłatwiony z życzeniem, iżby nas wspólne obowiązki dla monarchy i wzgląd na dobro kraju wkrótce zjednoczyły. Może powtórna narada, obecność reszty książąt, którzy dziś nie są obecni — w szczęśliwszej chwili do pożądanego doprowadzą rezultatu, co dziś niemożliwem się wydaje. Tą ożywioną nadzieją żegnaj cię.

Alba który równocześnie daje znak *Ferdynandowi*.
Stój, *Egmoncie!* Twoją szpadę!

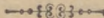
Środkowe drzwi się otwierają a w głębi widać galeryę silną obsadzoną strażą — która nieruchomo stoi.

Egmont zdziwiony, po chwili milczenia. To był twój zamiar? Dlatego mnie zaprosiłeś? Chwytając za szpadę jak gdyby się bronić chciał. Jeszcze nie jestem bezbranny!

Alba. Król tak rozkazuje, jesteś moim więźniem. Zarazem strażę z obydwóch stron postępują ku przodowi sceny.

Egmont po chwili uroczystej ciszy. Król? O Wilhelmie! Wilhelmie! Po chwili oddając szpadę. Weź ją! Częściej broniła ona sprawy króla niżli ochraniała te piersi.

Odechodzi środkowemi drzwiami, za nim straż i Ferdynand, *Alba* pozostaje na scenie. Zastępa spada.



Akt V.

Ulica, Zmierzcha się. *Klara, Brakenburg, Mieszczanie.*

Brakenburg. Droga, na miły Bóg, co czynić zamysłasz?

Klara. Brakenburg, pójdź zemną! Ty pewnie tych ludzi nieznasz, my go z pewnością uwolnimy. Cóż bowiem wyrówna ich miłości ku niemu? Przysięgłabym, że w duszy każdego z nich tkwi gorące życzenie wyratowania go — uwolnienia z grożącego życiu jego niebezpieczeństwa, i powrotu najwolnomyślniejszemu złotej wolności. Pójdźmy! Brak tylko głosu, któryby ich skupił. W duszy ich nie zaumarła jeszcze pamięć tego, co mu zawdzięczamy — wiedzą oni dobrze, że jedynie jego potężne ramię wstrzymuje zgubę od nich. W własnej i w jego sprawie na

wszystko odważyć się muszą. A na cóż oni się narażają? Najwięcej na utratę życia, które nie warto zachować, jeśli on zginie!

Brakenburg. Nieszczęsna! Nie widzisz przemocy, co żelaznemi więzy nas okuła!

Klara. Nie wydaje mi się niewyciężoną. Lecz nie traćmy na próżno tyle słów — otóż przechodzi kilku starych, poczciwych i dzielnych obywateli. Słuchajcie, przyjaciele! Sąsiedzi, słuchajcie! Powiedzcie nam co słyhać o Egmoncie!

Cieśla. Czego chce to dziecię? Nakażcie jej milczenie.

Klara. Przystąpcie bliżej, żebyśmy w cichości pomówić mogli, zgodzić się i wzajemnie pokrzepić. Ani chwili nie powinniśmy zwlekać! Bezczelny tyran, który śmie go więzić, trzyma w pogotowiu miecz katowski nad jego głową. O przyjaciele! Z każdą chwilą, co się bardziej ku wieczorowi chyli, ogarnia mnie coraz większy niepokój. Lękam się tej nocy. Chodźcie! Podzielmy się — szybko obiegijmy dom za domem zwołując obywateli. — Każdy niech chwytą za zbroję — na rynku zgromadzim się znowu, a rwący ten strumień zbrojnego ludu porwie niewstrzymanie każdego z prądem. Otczymy zewsząd — i zgnieciemy nieprzyjaciół. — Jakiż opór zdoła nam stawić garstka służalców! — A Egmont ujrzy się wolnym — powróci do nas i nam raz jeden podziękuje — on, którego

tak wielkimi jesteśmy dłużnikami. Ujrzy może — o pewnie on ujrzy jutrzeńkę ranną na wolnym wschodzącą błękiecie.

Ciesła. Co ci się stało, dziewczyno?

Klara. Czyż mnie zrozumieć nie możecie, o hrabi mówię! Ja mówię o Egmoncie!

Jetter. Na miłość boską, nie wymawiaj tego imienia. — Ono śmierć nam przynieść może.

Klara. Imienia nie wymawiać! Jakto, tego imienia? Któż je nie powtarza przy każdej sposobności — gdzież ono nie jest zapisane złotem i zgłoskami? Oto w tych gwiazdach wielkimi nakreślone czcionkami nie raz je czytałam. — Nie wymawiać tego imienia? Co to ma znaczyć? Przyjaciele! Pocziwi, drodzy sąsiedzi — wy śnicie — ocknijcie się! Nie patrzcie na mnie tak strętwiąło, rozpaczliwie — nie oglądajcie się tak lekliwie na wsze strony. — Zachęcam was do tego tylko, czego sami chcecie. — Czyż głos mój nie jest echem głosu serc waszych? Któż w tej okropnej nocy, nim rzuci się na łoże — które mu tylko sny niespokojne przywiedzie — nie padnie wprzód na kolana — błagając w gorącej modlitwie pociechy niebios? Spytajcie się każdy z was drugiego! Niech każdy sam siebie zapyta, a któryż z was nie powtórzy za mną: „Wolność Egmonta lub śmierć!“

Jetter. Boże, uchowaj nas! To nas nabawi nie-szczęścia!

Klara. Pozostańcie! Pozostańcie! Nie uciekajcie przed imieniem tego, ku któremu z radością tak często biegliście. Niegdyś, kiedy go okrzyk zwiastował — kiedy wołano: „Egmont przyjeżdża, przyjeżdża z Gandawy!“ ... o wówczas szczęsnymi mienili się mieszkańcy tych ulic, któremi jechał. A kiedy was doszedł tentent koni jego, rzucał każdy swą robotę, a na waszych troską pooranych, nędzą zasępionych licach wschodziła jutrzeńka radości i nadziei, kiedy wzrok jego padł na wasze z okien wychylone głowy. Wówczas wznosiliście u progów mieszkań waszych dziatwę swą w górę i nauczaliście ją: „Patrzcie, oto Egmont! Ten największy mąż nasz! Ten, o którym mieć możecie nadzieję — że lepszą wam zgotuje przyszłość aniżeli wasi biedni ojcowie przeżyli.“ Nie dopuszczajcie, aby was kiedy dzieci wasze pytały, gdzie się podział ów Egmont, o którym jako o zbawcy naszym mówiliście, gdzież owe szczęsne czasy — któreście nam przyrzekali! Lecz my tylko puste słowa wymawiamy — opieszalność nasza zdradą jest wobec niego.

Soest. Wstydz się, Brakenburg, że pozwalasz na coś podobnego, weź ją stąd.

Brakenburg. Droga Klaro — chodźmy stąd! Co matka na to powie! — Może...

Klara. Sądzisz, żem dzieckiem lub pozbawioną zmysłów? Co znaczy może — od tej okropnej

pewności nie odwiedzisz mnie żadną nadzieją. Obywatele! Powiniście mnie usłuchać — usłuchacie, gdyż widzę, że jesteście tyko przerażeni i nie możecie na razie odzyskać przytomność. Zapomnijcie na chwilę o grożącym niebezpieczeństwie a spojrzycie na przeszłość, na najbliższą przeszłość — a dalej zwróćcie myśl waszą ku przyszłości. Możecież wy żyć? Czy zdołacie żyć — jeśli on zginie? Z jego ostatnim tchem uleci i wolność i życie. — Czemże on dla was był — za kogo narażał się potysiąckroć na największe niebezpieczeństwa. Z ran jego płynęła krew za was, a życie swe narażał dla was. To wielkie serce, które was wszystkich tak silnie ukochało — teraz więzy krępują a krwawa groza zuchwałego mordu otacza je. On może o was myśli, w was nadzieję swą pokłada, on, który zwykł tylko wam udzielać pomocy i wasze spełniać życzenia.

Cieśla. Chodźmy, kumie!

Klara. O! ja nie mam ni ramienia dzielnego, ni waszej siły — lecz posiadam to, czego wam wszystkim nie dostaje: męstwo i pogardę śmierci. O gdyby mój oddech zdołał was rozplomić, o gdybym zdołała przyciskając was do mego serca ogrzać i ożywić waszego ducha. Zbliźcie się do mnie. W pośrodku was pójdę na wroga. — Jak sztandar przewodzi bezbronny hufcom, który ożywia szlachetny zapach, tak płomienny duch

mój nad waszemi unosić się będzie głowami — a miłość i odwaga złączą chwiejny, rozpierchły naród — w jedno straszliwe wojsko.

Jetter. Odwiedźcie ją na bok — żal mi jej.

Obywatele odechodzą.

Brakenburg. Klaro, nie widzisz, gdzie jesteśmy?

Klara. Gdzie? Pod niebem, którego sklepienie daleko wspanialszem się wydawało, gdy ten szlachetny tu na ziemi stapał. — Z tych tu okien wyglądali. Po cztery, pięć głów cisnęło się razem. U tych bram skłaniali głowy, kiedy on na nich niewieściuchów spoglądał. O ja ich tak kochałam, gdy go czcili. — Gdyby był tyranem, niechby go odstąpili w nieszczęściu — ale on był ich ojcem! I udawali, że go jak dzieci kochają. Gdy się zdala zbliżał, zdejmowaliście skwapliwie okrycia z głów a dziś opuszczacie ręce i żaden z was nie ma odwagi za oręż uchwycić. — A my, Brakenburg, czyśmy lepsi od tych, na których wyrzekamy? — Te ręce, które go tak często w uścisku trzymały — czy zdołają uczynić co dla niego? Podstęp tyle w świecie dokonał. — Ty znasz drogi i ścieżki, znasz stare zamczysko — udziel mi rady twej. —

Brakenburg. Możebyśmy poszli do domu.

Klara. Dobrze.

Brakenburg. Tam na skrócie ulicy widzę straż Alby! O niechże głos rozważi znajdzie przystęp do twego serca. Czyż sądzisz, że jestem tchó-

rzem? Wątpisz, że zdołabym umrzeć dla ciebie — lecz rozprawiając tu uchodzimy oboje za szalonych. Czyż nie widzisz niepodobieństwa dokonania czegokolwiek. — O uspokój się. — Tyś nie przytomna.

Klara. Jam nieprzytomna! Co za okropne zaślepienie. Brakenburg, wyście nieprzytomni. Wy to wśród okrzyków wielbiliście bohatera, nadzieją swą, przyjacielem i obroną go zwali, a kiedy się pokazał — bezustannie „Niech żyje!“ wołali. Wówczas na pół rozsunałam firankę u mego okienka, a ukrywszy się w framudze nadśluchiwałam, jakeście wznosili okrzyki na cześć jego. — Wówczas serce biło mi mocniej jak wam wszystkim — a i teraz głośniej bije jak wam wszystkim! Kryjcie się, gdy go nieszczęście dotknie, zapieracie się go — nie przeczuwając własnej zguby, która was nieodzownie pochłonie — jeśli on zginie.

Brakenburg. Pójdźmy do domu!

Klara. Do domu?

Brakenburg. Opamiętaj się tylko! Oglądnij się! Patrz oto ulice, na które tylko w niedzielę wychodziłaś, dążąc pełna skromności do świątyni Pańskiej. A kiedyś się chciałaś przyłączyć do ciebie — pozdrawiając cię przyjaźnym słowem, wówczas ze zbytnej skromności chmurnym i gniewliwym wzrokiem odprawiałaś mnie. A teraz

stoisz tu w obliczu całego świata — chcesz działać — rozmyśl luba, co to nam pomódz może.

Klara. Do domu! Tak, opamiętałam się. Chodźmy do domu! Wieszże, gdzie mój dom — gdzie moja ojczyzna?! Odchodzą.

Więzienie lampą oświetlone, w głębi łoża.

Egmont sam.

Egmont. Druhu mój stary! Zawsze wierny śnie, czy i ty mnie odbiegasz jak inni przyjaciele? Tak chętnie skłaniałeś się na moją wolną głowę, chłodząc jak piękny mirtowy wieniec miłości moje skronie. Wśród szczyku zbroi, wśród burzliwych fal życia lekko oddychając spoczywałem w twych ramionach jak dorastające chłopię. Kiedy burze szalały wśród gałęzi i liści, a wicher z szumem konary i wierchołki przenikał — pozostało jądro życia w sercu niewzruszone. Cóż wzrusza mną? co czyni chwiejnym silną i prawą myśl moją? Czuję, to odgłos zabójczej siekiery, co podkopuje korzeń żywota mego. Żyję jeszcze i silnie stoję — a mimo to drżenie przejmuję mnie — pokonuje owa zdradziecka przemoc; podkopuje silny i wyniosły pień, a nim kora zeschnie, zdruzgotana spadnie z ponurym łoskotem korona. Dlaczego właśnie teraz, ty, który tylekroć olbrzymie tro-

ski jak bańki mydlane rozwiewałeś — dlaczegoż teraz nie zdołasz stłumić to złowrogie przecucie, które potysiącokroć w twej duszy powstaje i niknie? Odkądże śmierć straszną stała się dla ciebie? Śmierć, z którą pod różnemi postaciami tylekroć się spotykałeś i z nią igrałeś — swobodnie jak z wszystkim innym, co na ziemi jest udziałem człowieka. Nie śmierć to — ten niewstrzymany nieprzyjaciół, któremu nieustraszona pierś się otwiera — lecz więzienie, wyobrażenie grobu — lękiem i bojaźnią przejmując zarówno pierś tchórza jak i bohatera. Nie mogłem usiedzieć na wygodnym krześle, kiedy w poważnym zebraniu książęta, co łatwo było do rozstrzygnięcia, w długich debatach ze wszech stron omawiali i rozważali — a wśród ponurych ścian sali belki poważyły mnie uciskały. Skoro tylko doczekałem się końca, wdychając całą piersią ożywcze powietrze dosiadałem rącego konia. Chyżo w świat pędziłem, gdzie nasza ojczyzna! Przez pola, wśród których natura roztoczyła swe skarby, gdzie błękitne niebo i gwiazd uroczę światło szczęściem nas ówiewa; gdzie podobni do owego z ziemi powstałego olbrzyma za dotknięciem się ziemi silniejszymi w górę wzrastamy; gdzie ludzkość i uczucia serca naszego zupełnie pojmujemy; gdzie chęć naprzód dążenia, pragnienie walki i zwycięstwa duszę myśliwca przenika; gdzie żołnierz swe przyrodzone prawo

do całego świata w szybkim pochodzie sobie przywłaszcza, a w strasliwej swej wolności jak złowroga burza gradowa przez łąki, pola i lasy ze zniszczeniem postępuje i żadnych nie zna granic, które ludzka zakreśliła ręka. — Lecz ty tylko obrazem, przypomnieniem szczęścia, które tak długo mi sprzyjało — dokąd zawiódł cię zdradziecki los? Czyż dlatego nie dano mi ponieść śmierci, której nigdy w obliczu światła dziennego się nie uląkłem, iżbym w tym ponurym przedśionku śmierci katusze konania wprzód przeżył! O jakże okropnie mury te grobowem technieniem mnie przejmują — już trętwieje życie, powiek mych odlatuje sen jakby się bał — iżbym nie zasnął na wieki. — O trosko! trosko! która przed czasem zabijasz, ulatuj! Odkądże to Egmont samotnym, zupełnie samotnym na świecie pozostał! — Zwątpienie, a nie nieszczęście czyni go nieczułym. — Czyż sprawiedliwość króla, której zawsze ufałeś, czy przyjaźń rejentki, która prawie miłością była, czy odrazu jak jaskrawe złudzenie nocy zniknęły? i porzucają cię samego na ciemnej życia ścieżce? Czy na czele twych przyjaciół Wilhelm nie przybędzie? Czy naród cały nie powstanie a wzrastając jak fala w potęgę, przyjaciela swego nie wyswobodzi? — O mury więzienia, nie pozbawiajcie mnie słodkiego wpływu tych nadziei! Niech ta sama odwaga, którą dawniej rozgrzewałem serca przy-

jaciół, wstąpi teraz z ich duszy w moją. O tak, oni powstają i gromadzą się w tysiące! Zbliżają się! stają u mego boku! Ich pobożne westchnienia szybko ku niebu dążą, błagają je o cud. A jeśli dla mego wyswobodzenia nie zstąpi anioł zbawienia, to uchwycą sami za dzidy i miecze. Bramy roztwierają się, pękają wrznięte, mury walą się pod ich rękami a nad wolną głową oswobodzonego z pęt Egmonta wschodzi promienista jutrzienka wolności. Jak niejedno znajome oblicze z radością mnie wita! Ach Klaro! gdybyś była mężczyzną, to ujrzałbym cię tu najpierw i dziękowałbym ci za wolność, za którą królowi dziękować tak przykro!

Dom Klary.

Klara wchodzi z alkowy z lampą w jednej a z szklanką wody w drugiej ręce, stawia szklankę na stole i przystępuje do okna.

Klara. Brakenburg? Tyś to? Cóż to za szelst mnie dochodzi? Nikt jeszcze nie przychodzi. — W okno wstawię lampę, iżby widział, że czuwam jeszcze, że czekam jeszcze na niego. Obiecał przynieść mi wiadomość, wiadomość? Wiadomość? Przerazająca pewność! Egmont skazany! Jestże sąd, który mógłby Egmonta przed swe kraty powołać? a oni skazują go! Król go potępia czy książę? Regentka usuwa się, książę

Orański waha się — a wszyscy przyjaciółwie opuszczają go. Jestże to ten świat, o którego zmienności i niestałości tyle słyszałam, niczego jednakże nie doznawszy. Czy to ten świat? Któż był tak złym, iżby oskarżył wszystkim drogiego? Czyżby złość ludzka tak wszechwładną być mogła — iżby ogólnie uwielbianego obalić zdołała! A przecież tak jest — tak jest. O Egmoncie! sądziłam, że wobec Boga i wśród ludzi tak pewny jesteś jak w moich objęciach. — Czemże tobie byłam? Ty zwałeś mnie swoją — moje całe życie poświęciłam dla twego życia. Czemże jestem teraz? napróżno wyciągam ręce ku więzom, które ciebie krępują. Ty bez pomocy a jam wolna! Oto klucz od mych drzwi! Od mej woli zależy wyjść i przyjść, kiedy zechcę — a tobie pomódz nie mogę. O skrępujcie mnie, iżby mnie rozpacz nie ogarnęła — rzućcie w najciemniejszy loch więzienny — iżbym mogła głową o wilgotne mury tłuc — jęczeć za wolnością, marzyć jakbym mu mogła być pomocną — gdyby mi nie ciążyły okowy. — Obecnie jestem wolna! A w wolności leży rozpacz niemocy. Jakże okropnie przytłacza mnie to przeświadczenie niemocy! Ach niestety i ta mała cząsteczka twej istoty — twa Klara jest jak ty w niewoli — w przedśmiertnej walce ducha napróżno się wysilając.. Słyszę ciche kroki — krząkanie. To on! Brakenburg! Biedny, nieszczęsny człeku — twój

los zawsze jednakim. Twa kochanka otwiera ci drzwi swej izdebki — lecz ach, do jak okropnej schadzki!

Brakenburg wehodzi.

Klara. Przychodzisz taki błądy i drżący — Brakenburg! — mów co się stało. —

Brakenburg. Wśród niebezpieczeństw — za-
użkami długo się przemykałem — wreszcie przy-
chodzę do ciebie. Wszystkie główne ulice obsa-
dzone wojskiem — uliczkami krętami skradałem
się ku twemu domowi.

Klara. Mów, co się dzieje.

Brakenburg siadając. Ach Klaro, pozwól, iż
zapłacę. — Ja go nie kochałem. — On był
zamożnym człkiem i jedyną owieczką biedaka
uwiódł na lepszą paszę. — Mimo to nigdy mu
nie wyrzekałem. Bóg dał mi wierne i czułe serce.
Wśród cierpień płynęło me życie — każdego
dnia spodziewałem się skonu.

Klara. Zapomnij o tem, Brakenburg! zapomnij
o sobie samym. — Mów mi o nim! Jestże to
prawda? Zostałże skazanym?

Brakenburg. Tak jest! Wiem to najdokładniej!

Klara. I żyje jeszcze?

Brakenburg. Tak — żyje jeszcze.

Klara. Możesz mnie zapewnić o tem. Tyran
okrutny w nocy zamorduje tego wielkiego męża —
w skrytości popłynie krew jego. — Pełen bo-
jaźni — oszołomiony spi lud i śni o ratunku,

śni o zjęczeniu swych niedołącznych pragnień —
podczas gdy nad nami duch jego wzlata i świat
opuszcza. On już zginął! Nie łudź mnie i siebie.

Brakenburg. Nie łudzę cię — z pewnością
mogę ci powiedzieć — iż Egmont żyje jeszcze.
Niestety okrutny ten Hiszpan ludowi, który upoko-
rzyć i zdeptać chce, okropne przygotowuje widowi-
sko. Chce on każde za wolnością bijące serce gwał-
townie, na wieki zgrozą napełnić i skruszyć. —

Klara. Mów dalej — wypowiedz spokojnie
wyrok mej śmierci. Coraz to zbliżam się ku
niebieskiej krainie, już owiewa mnie błoga na-
dzieja z miejsc wiecznego pokoju. Mów.

Brakenburg. Poznałem z porozstawianych stra-
ży i z mowy, którą tu i ówdzie podłuchał mi
się udało, iż na rynku w skrytości coś straszne-
go przygotowują. Przemykałem się bocznymi
uliczkami przez znane mi domy przechodnie, ku
domowi stryja mego, a tu z tylnych okien pa-
trzałem ku rynkowi, gdzie mnóstwo rycerzy hi-
szpańskich z płonącymi ujrzałem pochodniami.
Wytężyłem wzrok mój wśród ciemności nocy,
dostrzegłem wysokie, obszerne rusztowanie, na
którego widok się wzdrygnąłem. Mrowie żołnierzy
krzątało się wokół niego, aby białe drzewo bu-
dowy całe czarnem okryć sukniem. Dalej zastali
także i stopnie czarno. Widziałem to dobrze.
Zdawało się, jak gdyby obchodzili wigilię stra-
szonej ofiary. Wreszcie zatknęto wysoko u szczytu

biały krucyfiks, który w nocy jak srebrny zdala błyszczał. Widziałem i przypatrywałem się coraz lepiej okropnej tej pewności. Jeszcze jakiś czas migwały tu i owdzie pochodnie, lecz z wolna znikwały i gasły. I tak obrzydliwy płód nocy skrył się na powrót w czarne swej matki łono.

Klara. Dość, Brakenburg! Dość! Nie odślaniaj przed oczyma mej duszy tego okropnego obrazu. Znikły widma ciemności a ty, błoga nocy, użyż twej osłony ziemi, w której wnętrzu wre i która dłużej nie zdoła unieść potwornego brzemienia, lecz w straszliwe rozpadając się przepaście pochłonie to okrutne mordu rusztowanie. I zesze Bóg anioła swego, którego oni w zaciekłości swej znieważą — lecz za świętem dotknięciem boskiego wysłańca rozsuna się wrzesciądze, opadną więzy, skruszeją okowy — wysłańcie boży opromieni go światłością swą i zawiędzie przez mgły nocy spokojnie i cicho do wiecznej wolności. A na jego spotkanie przez te ciemności i moja wiedzie mnie droga.

Brakenburg wstrzymując ją. Dziecię moje, dokąd zmierzasz? —

Klara. Cicho, luby, iżby nie zbudzić nikogo! iżbyśmy się sami nie ocknęli! Znane ci to naczynie, Brakenburg? Żartem odebrałam ci je, gdy nierozmyslną groziłeś mi śmiercią — a teraz, mój przyjacielu. —

Brakenburg, W imię wszystkich świętych!

Klara. Niczemu nie przeszkodzisz. Śmierć moim udziałem! Dozwól, iżbym tą łagodną i szybką umarła śmiercią, którą niegdyś sam sobie gotowałeś. Podaj mi rękę. W chwili gdy wchodzę w ciemne podwoje, z których wyjścia niema, chcę tem uściśnieniem powiedzieć ci: jak bardzo cię kochałam, jak szczerze ubolewałam nad tobą. Gdym dzieckiem jeszcze była, odumarł mnie brat, ciebie wybrałam, byś mi go zastąpił. Serce twoje pragnęło czegoś więcej, dręczyło mnie i siebie i coraz goręcej i natarczywiej domagałeś się tego, co ci nigdy nie było przeznaczonem. Daruj mi, zapomnij i żyj nadal szczęśliwy! Dozwól bym cię brata imieniem przezwiała — to jest imię, co wiele imion w sobie łączy. — Weź ten ostatni piękny kwiat od żegnającej cię z szczerem sercem — weź ten pocałunek. — Śmierć wszystkich łączy, ona i nas połączy!

Brakenburg. A więc podziel się zemną! Podziel! Podziel! wystarczy rozerwać dwa życia.

Klara. Pozostań! Tyś powinien żyć — ty możesz żyć. Wspieraj mą matkę, która bez twej pomocy w nędzę by popadła. Bądź jej podporą. Żyjąc, oplakujcie mnie razem, oplakujcie ojczyznę i tego, co ją jedynie utrzymać mógł. Dziejsze pokolenie nie ocknie się z tego żalu i rozpacz, której nawet zaciekłość zemsty nie ulży. Wy biedni żyjcie, czyż tak długiem to życie? Świat stanął dziś w miejscu, kołowy jego bieg zatrzy-

many, a i puls mój zaledwie jeszcze kilka minut ubieży: — Bądź zdrow!

Brakenburg. O żyj z nami jak my tylko dla ciebie żyjemy! Umierając i nas zabijasz. — O żyj z nami i cierp z nami. Nerozłączeni stać będziemy przy tobie, miłością i szacunkiem otoczona znajdziesz pociechę. Żyj dla nas, dla nas — nie śmiem powiedzieć dla mnie.

Klara. Zamilknij, Brakenburg! Ty nie wiesz, jakie uczucia w mem sercu poruszasz. Gdzie ty nadzieję widzisz, tam ja rozpacz spostrzegam.

Brakenburg. Dziel z żyjącymi nadzieję — zatrzymaj się u krawędzi przepaści — spojrzuj w nią i zwróć ku nam wzrok swój.

Klara. Walczyłam długo, wreszcie przemogła ta myśl — nie wyzywaj mnie więc do nowej walki.

Brakenburg. Tyś w szale! Nieprzytomna! Wśród ciemności nocy szukasz przepaści. O jeszcze nie wszystkie pogasły światła, jeszcze nie jeden zabyłśnie dzień!

Klara. Biada ci! Biada! Nielitościwie rozdzierasz przed oczyma mojemu zasłone. Tak zaświta dzień! Napróżno mgły w okół przyćmiewają jutrzeńkę, mimo to zejdzie ona w całym swym uroku. Bojaźliwy mieszczanin spogląda przez okno a wśród promieni wschodzącej jutrzeńki po nad mgły poranne przed oczyma jego wznosi się straszne rusztowanie. Nową dotknięty

bolescią wznosi Syn Boży błagamy wzrok w niebiosy ku Ojcu swemu. Słońce wejść nie śmie, niechce zaznaczyć godziny śmierci jego. — Leniwo posuwają się wskazówki, jedna po drugiej uderza godzina. Dość! Dość! Otóż i czas — wschodząca jutrzeńka w grób mnie pociąga. — Zbliży się do okna jak gdyby przez nie popatrzeć chciała — i wy-
pija tajemnie truciznę.

Brakenburg. Klaro! Klaro!

Klara idzie do stołu i pije wodę. Oto reszta! Nie wołam cię za sobą — czyn co powinienes. Bądź zdrow! Zgaś bez zwłoki tę lampę, ja idę na spoczynek. Wymknij się chyłkiem, odejdz i zamknij drzwi za sobą. Cicho! Nie zbudź mej matki. Idź, ratuj się, ratuj, jeśli nie chcesz uchodzić za mego mordercę. Klara odchodzi.

Brakenburg. Żegna się zemną po raz ostatni, a nie inaczej jak zwykle. Nieczuła, rozdarła serce me i na wieczne skazała katusze. Pozostawia mnie samego, opuszcza i odwraca się odemnie, a ja śmierć i życie zarówno zniemawidłem. Samemu umrzeć! Płaczcie, kochankowie! Nikomu okropniejszy los nie dostał się w udziale jak mnie! Dzieli ze mną śmiertelną truciznę i od siebie precz odsuwa! od swego boku! Pociąga mnie za sobą i żyć mi nakazuje. O Egmontcie! o ile szczęśliwszym jesteś odemnie. Ona poprzedza cię z wieńcem lauru dla ciebie uwitym i chóry niebieskie wiedzie na twoje spotkanie. A ja mamże iść za nią? znowu stać na uboczu?

niewygasłą zazdrość wnieść i w tę niebiańską krainę? Życie tu na ziemi żadnego dla mnie nie ma powabu a piekło i niebo tylko męczarnie dla mnie mieć mogą. O śmierć z ręki kata, zniszczenia straszliwe ramie, jakże byłaby nie-szczęśliwemu pożądana.

Brakenburg odchodzi; scena przez czas niejaki się nie zmienia. — Muzyka zwiastuje śmierć Klary. — Lampa, którą Brakenburg zapomniał zgasić, kilka razy błyska jeszcze i zagasa — wkrótce scena się zmienia w

Więzienie.

Egmont w głębi śpiąc. Słychać brzęk kluczków. Otwierają się drzwi, wchodzi żołnierze z pochodniami — za nimi Ferdynand, syn Alby, i Sylwa z orszakami zbrojnych żołnierzy. Egmont przebudza się.

Egmont. Kto taki sen mi przerywać śmie. Co mi zwiastuje wasz hardy i ponury wzrok? Co za straszliwy orszak na pół senną duszę przeraża.

Sylwa. Książę nas przysła, byśmy ci wyrok twój obwieścili.

Egmont. Czy przywodzisz zarazem z sobą i kata, ażeby go wypełnić?

Sylwa. Posłuchaj, a dowiesz się, co cię czeka.

Egmont. Niebyłoby się czemu dziwić, gdybyście się czynu podobnego dopuścili, bo podłe i nikczemne uczynki waszym udziałem. Zwykliście w ciemnościach nocy wydawać i wykonywać wyroki. Niegodny i niesprawiedliwy czyn rad w ciemności się kryć. Zbliź się śmiało, ty co miecz swój w fałdach płaszcza kryjesz, oto głowa moja — najwolniejsza z tych, która spadła pod mieczem katowskim despoty.

Sylwa. Mylisz się. Co sprawiedliwi postanowią sędziowie, tego nie będą ukrywali przed obliczem dnia.

Egmont. A więc bezczelność ta nie ma ni kresu ni granic.

Sylwa bierze z rąk jednego towarzysza wyrok, rozwija i czyta. „W imieniu króla i na mocy szczególnej przez Jego Apostolską Mość poruczonej mi władzy wszystkich jego poddanych sądenia jakiegokolwiek oni są stanu — a nawet rycerzy złotego runa.“

Egmont. Czy i tej władzy może król komuś udzielić?

Sylwa. „Uznajemy po poprzednim dokładnem i prawnie przeprowadzonym śledztwie ciebie, hrabię Egmonta, księcia Gauru, winnym zdrady majestatu i orzekamy: iżbyś z brzaskiem dnia z więzienia na rynek miasta wyprowadzony i tam w obliczu ludu dla przestrogi wszystkich zdrajców życia pozbawiony został. Dan w Brukseli datę i liczbę roku czyta Sylwa niewyraźnie, tak iż dosłyszec nie można. Ferdynand, książę Alba, naczelnik Rady dwunastu.“ Znamym ci więc los twój, tylko krótka chwila pozostaje pogodzić ci się z nim i poddać się jemu, zostawić ostatniej woli rozporządzenie i pożegnać rodzinę. Sylwa z orszakami odchodzi — pozostaje Egmont i Ferdynand. Dwie pochodnie słabo oświetlają scenę. Egmont stoi chwilę pograżony w myślach nieporuszony i nie zwraca uwagi na Sylwę i towarzyszy jego, którzy odchodzą. Sądzi, że pozostał sam, a gdy wzrok podniósł, spostrzega syna Alby.

Egmont. Pozostałeś i czekasz, chcąc moje zdumienie i przerażenie zwiększyć twą obecnością? Chceszli może tę pożądaną nowinę ojcu twemu zanieść, iż nie po męsku rozpaczam? Idź! I powiedz mu! Powiedz mu, iż nie okłamię ani mnie ani świat. Zrazu będą szeptać cicho po za plecami jego, później głośniej i coraz głośniej, a skoro z szczytu swej sławy zejdzie, tysiące głosów wołać będą: Patrzcie, oto potwór cheiwy sławy! nie dobro państwa, nie majestat króla rzekomo obrażony, nie troska o pokój tego kraju przywiodły go do Niderlandów. Z własnej pobudki doradzał do walki, iżby w walce mógł się zwycięzcą okazać. — On sam wzmógł te rozruchy — ażby go do poskromienia ich użyto. — A ja ginę ofiarą jego podłej nienawiści, nikczemnej zazdrości jego. Wiem o tem i mogę o sobie powiedzieć: umierający, śmiertelnie zraniiony może to powiedzieć — on próżny zazdrościł mi i długo przemyślał jakby mnie zgubić. — Wówczas już gdyśmy młodzianami w kostki grywali — a garście złota jedna po drugiej — od niego do mnie przesuwaly się, wówczas stał z sercem pełnym gniewu, udając obojętnego, a wewnątrz gryzł go robak zawiści bardziej dla tego, że mi szczęście sprzyjało, niżli dla tego, że przegrywał. Jeszcze widzę zaiskrzony wzrok jego, mściwą bladeścią okryte oblicze, gdyśmy obydwa przy publicznej uroczystości w obli-

czu tysięcy rozciekawionego ludu o lepsze strzelali. — On mnie wezwał do strzelania w zawody. Przyjąłem to wezwanie. Stanęliśmy a z nami stanęły obydwa narody na stanowisku. Niderlandzcy i Hiszpanie zakładali się o to, kto wyjdzie zwycięzcą — każdy z duszy życząc, by reprezentant jego narodu odniósł palmę zwycięstwa. — Ja pokonałem go; jego kula ominęła celu, moja uderzyła weń; wesoły okrzyk moich towarzyszy rozległ się w powietrzu. A teraz uderza we mnie jego śmiertelny pocisk! Powiedz mu, że przeniknąłem wewnątrz jego ciemnej duszy — powiedz mu, że świat gardzi pomnikami zwycięstwa, które nikczemny duch podstępem walcząc ukradkiem sobie wznosi. — A ty, jeśli syn może być odmiennego jak ojciec usposobienia, gotuj się zawczasu do sromoty, rumieniąc się za tego, któregoś rad z całej duszy czcić i poważać.

Ferdynand. Słuchałem do końca, nie chcąc ci przerywać! Wyrzuty twe spadają jak uderzenia potężnego miecza na hełm; czuję gwałtowne wstrząśnienie, lecz jestem na nie przygotowany. Ty możesz mnie dotknąć, ale nie zranić, czuję tylko ból, co me łono rozdziera. Biada mi! Biada! Na to wyrosłem by oglądać tę sromotę — przysłano mię tu, bym był świadkiem rażącej zbrodni.

Egmont. Ty narzekasz? Cóż ciebie porusza? Co ciebie dotyka? Maż to być opóźniona skrucha? żal, iżes twe usługi tej podłej poświęcił

sprawie? Tyś taki młody, losowi twemu szczęście się uśmiecha. Tobiem zaufała i szczerą dla cię przejęty byłem przyjaźnią. — Póki na cię patrzałem, zapominałem o twym ojcu — a równie jak on, bardziej jeszcze podstępnie, wciągnąłeś mnie w zdradziecką sieć — podły nędzniku. Kto jemu dowierza, ten czyni to na własne niebezpieczeństwo — lecz któż mógł o niebezpieczeństwie marzyć zaufawszy tobie!? Odejdź, odejdź czempredzej. Nie odbieraj mi tych skąpo odmierzonych chwil — odejdź, iżbym mógł myśli moje zebrać — zapomnieć o świecie, a najpierw o tobie.

Ferdynand. Cóż ci odpowiem? Stoję i patrzę na cię — patrzę i nie widzę ciebie. Straciłem uczucie własnego istnienia. Mamże się usprawiedliwiać? Mam cię zapewniać, że dopiero późno, zupełnie ku końcowi o zamiarach ojca dowiedziałem się, że jako martwe narzędzie bez wolności działania nieugiętej woli jego zadość uczynić musiał. Nie pomoże mi, jak o mnie sądzić będziesz, tyś zgubiony a ja nieszczęsny stoję tu tylko, aby cię o tem zapewnić i żałować.

Egmont. Co za osobliwszy głos, co za niespodziana pociecha spotyka mnie na drzewie do grobu! Syn mego pierwszego, prawie jedyne go wroga żałuje mnie. Więc ty nie jesteś w liczbie mych morderców? Mów, opowiadaj, iżbym wiedział, jak o tobie sądzić mam?

Ferdynand. Okrutny ojciec! W tym rozkazie nieludzkość twą pojmuję! Ty znałeś moje serce, mój sposób myślenia, które często ganiłeś zwając je spuścizną czulej matki. Ażebym mnie równym sobie uczynić, tu mnie posłałeś. Zmusiłeś, bym oglądał tego męża nad otwartym grobem w ostatnich chwilach walki z okropną myślą śmierci, którą mu twym dowolnym zgotowałeś wyrokiem — bym uczuł najdotkliwszą boleść, iżby pod jej wpływem serce moje nieczułym i martwym głazem się stało — w piersiach mych zdziczało i zamarło.

Egmont. Dziwną wydaje mi się twa mowa. Uspokój się — mów, jak na męża przystało.

Ferdynand. O gdybym kobietą był, iżby mnie można zapytać: co cię tak bardzo wzrusza i gębokoboko przejmuje? Posądź mnie o większą, okropniejszą zbrodnię — powiedz, że byłem świadkiem podlejszego czynu — nie wezmę ci tego za złe, nie urażę się. —

Egmont. Odchodzisz od rzeczy. — Zastanów się — myśli twoje ogarną obłądę jakiś.

Ferdynand. O dozwól tej namiętności, niech szaleje, dozwól by mi wolno było rozpaczać! Nie chcę uchodzić za człeka silnego, kiedy wszystko we mnie złamane i zdruzgotane. Ciebie w więzieniu widzę? Ciebie? to okropne! Ty mnie nie rozumiesz — możeszże mnie zrozumieć? Egmoncie! Egmoncie! Rzuci mu się na szyję.

Egmont. Wyświeć mi tę tajemnicę.

Ferdynand. To nie tajemnica.

Egmont. Jakto, więc tak głęboko dotyka cię los obcego człowieka!

Ferdynand. O nie obcego! Tyś mi nie obcym! Twe imię jak gwiazda przewodnia przyświecało mi w pierwszych dniach mej młodości. Zawsze dowiadywałem i pytałem się o ciebie! Nadzieją dziecka jest młodzian, młodzieńca dojrzały mąż. Pełen zalet kroczyłeś przedemną ciągle ku sławie dążąc — a jam bez zawiści postępował nieustannie w twe ślady. Wreszcie zabłysła mi nadzieja widzenia ciebie — ujrzałem cię — a serce moje pokochało cię szczerze, całą gorącą swą miłością i po raz wtóry wybrałem cię jako wzór do naśladowania. — Zdawało mi się, iż teraz będę mógł z tobą wspólnie żyć, ciebie kochać i przejąć się twoim sposobem widzenia. — A teraz wszystko przerwane i ty w lochu więziennym!

Egmont. Przyjacielu mój, jeśli ci pożądane moje zapewnienie, to wiedz, że od pierwszego widzenia dusza moja przylgnęła do ciebie. A teraz słuchaj mnie uważnie, pomówim spokojnie o sprawie. Otóż powiedz mi, czy jest nieugięta, niezmienną i stanowczą wolą ojca twego mnie zgubić?

Ferdynand. Tak jest.

Egmont. Więc ten wyrok nie jest błahym postrachem, nie na to wydany, iżby mnie boja-

źnią przejąc — unić — a później wspaniałomyślnie ułaskawić?

Ferdynand. O nie! Niestety nie. I mnie samemu zrazu zdawało się, że to tylko postrach — lecz Niestety przekonałem się, że moja nadzieja była błahą i wówczas już było mi boleśnie widzieć cię w tak okropnem położeniu — lecz teraz wiem, iż los twój niezmienny. Nie — nie jestem w stanie panować nad sobą — któż mi poda pomocną rękę — kto rady udzieli aby ujęć nieuniknionemu przeznaczeniu?

Egmont. Posłuchaj mnie więc. Jeśli szczerze pragniesz mnie wyratować, jeśli pogardzasz przemocą, która mnie więzi — więc pomóż mi! Każda chwila drogą. Tyś synem wszechpotężnego, sam pełen władzy. Uciekajmy! Mnie znana droga. — Tobie muszą być wiadome środki ostrożności przeciw mnie zarządzone. Tylko te mury, kilka mil tylko odgranicza mnie od mych przyjaciół. Zdejm te więzy — ułatwaj ucieczkę i przyłącz się do nas. Bądź pewnym, iż król sam podziękuje ci kiedyś za moje życie. Obecnie pierwsze uniesienie nim owałdo, poduszczono go. Ojciec twój za śmiało sobie postępuje, a król musi zgodzić się z tem, co się stanie, choć z obrzydzeniem może odwrócić się od tego krwawego czynu. Ty się wahasz? O myśl raczej nad tem, jakby mi drogę wolności utorować! Mów i pokrzep nadzieją me serce.

Ferdynand. Zamilknij! O zamilknij! Każdem słowem powiększasz moją rozpacz. Tu niema wyjścia, niema rady. Ucieczka jest niemożliwa, i to właśnie dręczy mnie i rozdziera jak szponami łono. Sam zaciągnąłem siecie na cię zastawione, znam siłę tych niewzruszonych węzłów, wiem, że każdemu porywowi odwagi, każdemu podstępowi z góry zapobieżono; czuję się wraz z tobą i wszystkimi innymi silnie skrępowanym. Czyż niebyłbym raczej wszystkiego dla twej swobody poruszył, niż napróżno narzekał. — U nóg jego klęcząc prosilem, błagałem go o litość, a on — przysłał mnie tu, by i we mnie wszelka chęć do życia znikła — najlżejszy promyk szczęścia w duszy mej zagasł i zamarł.

Egmont. Więc niema ratunku?

Ferdynand. Niema!

Egmont tupiąc nogą. Niema ratunku! Drogie życie! Piękny i zaszczytny towarzyszu mego działania, muszę cię pożegnać! Tak niegodnie i spokojnie pożegnać! Nie wśród wrzawy wojennej, wśród szczęku zbroi, chaosu zaciętej walki ślesz mi ostatnie pozdrowienie, nie pożegnasz chyżo, niespodzianie. Mam jeszcze twą rękę ująć, spojrzeć ci w oczy i w duszy mej po raz ostatni uczuć całą twą piękność i wartość — a potem wyrwę się szybko z twych objęć i zawołam: bądź zdrowe, me życie!

Ferdynand. A ja mam stać przy tobie i patrzeć, nie mogąc ci ani pomódz ani przeszkodzić złemu. O skąd dobyć głosu do skargi! Czyjeż serce nie pękłoby z bólu i rozpaczyl!

Egmont. Uspokój się. —

Ferdynand. Ty możesz z spokojem i pogardą jak na bohatera przystało — ulegając konieczności, uciążliwej wędrowce życia twego kres położyć. Lecz cóż ja bez ciebie zdołam, co przedsięwziąć mam? Ty pokonujesz sam siebie i nas — ja zaś ciebie i samego siebie przeżyję. Przy uciechach uczyt daremnie szukać będę twego oblicza, z tobą tracę gwiazdę przewodnią mego życia. Głuchą, niepewną i posępną wydaje mi się przyszłość.

Egmont. Młody przyjacielu, którego dziwnem zrządzeniem losu zarazem zyskuję i utracam, który za mnie odczuwasz boleść przedśmiertną — za mnie cierpisz. Jeżeli me życie było dla cię zwierciadłem, w którym rad się przeglądałaś, to i w chwili śmierci chęć być dla cię wzorem. Ludzie nietylko wówczas są z sobą, gdy są przy sobie, także nieobecny umarły żyje z nami. Dla ciebie ja żyć będę wiecznie — dla siebie żyłem już dosyć. Zawsze wesół w każdej chwili szybko, bez odwołki spełniałem me obowiązki tak jak mi to moje nakazywało sumienie. — A obecnie koniec nadchodzi życiu memu, które już pierwaj na błoniach pod Grawelingen zakończyć mo-

głem. Przystaję żyć — lecz żyłem. Tak więc i ty, mój przyjacielu, wesoło i ochoczo żyj i nie lękaj się śmierci.

Ferdynand. Ty mogłeś dla nas się ocalić i zachować — powinieś był się zachować. Ty sam się zabiłeś. Często słyszałem, gdy rozsądni ludzie o tobie mówili: zawistni i życzliwi — długo spierali się o ciebie, aż wreszcie jednogłośnie się zgodzili na to, iż niebezpiecznymi dążysz drogami. Nieraz pragnąłem uważnym cię uczynić. Niemiałeśże żadnych przyjaciół?

Egmont. Przestrzegano mnie. —

Ferdynand. Akt oskarżenia twego zawierał słowo w słowo wszystkie te zarzuty, które ci zawsze czyniono. Lecz obrona twoja czyż nie zabiła tych zarzutów — o zaprawdę, ona zdolna uwolnić cię wobec wszystkich od winy — tylko nie w oczach mego ojca. —

Egmont. Nie mówmy już o tem. Człowiekowi wydaje się, że sam kieruje swem życiem, że sam się prowadzi, gdy właśnie wbrew jego woli jedynie przeznaczenie wiedzie go drogą życia i kieruje jego wewnętrznem uczuciem. Lecz nie chcę nad mojem życiem rozmyślać; myśli tej łatwo się pozbyć mogę, trudniej zaś troski o kraj mój — lecz i ten już wkrótce ujrzy wolności brząsk. Jeśli krew moja za ogół ma być przelaną i narodowi memu pokój przynieść, chętnie ją przeleję. — Lecz niestety tak nie będzie —

za mną popłyną jeszcze strugi krwi niewinnej. Nienależy zagłębiać się w rzeczy, których woła swą i działaniem zmienić nie zdołamy. Jeśli możesz mordercze gwałty ojca twego powstrzymać, krwi chciwe pragnienie poskromić — to nie zaniedbuj tego! Lecz któż zdoła to uczynić? Bądź zdrow!

Ferdynand. Nie mogę stąd odejść.

Egmont. Pamiętaj o mej służbie! Dobrzy to ludzie — uważaj, iżby się nie rozprószyli i w nędzę nie popadli! Co uczyniono z Ryszardem, moim sekretarzem?

Ferdynand. Poprzedził cię. Jako współwinnego zdrady państwa stracono go.

Egmont. Biedny młodzieniec! Jeszcze jedno mam ci do powiedzenia — lecz potem odejść musisz — nie mogę być dłużej z tobą! Choć duch nasz gwałtownie wzruszony, przecieź wkońcu natura nieubłaganie praw swych się domaga: a jak dziecię ściśnione powijakami spi spokojnie snem, który go pokrzepia, tak też znużony jeszcze po raz ostatni u podwoi śmierci chcą się położyć i długo wypocząć, jak gdyby daleką jeszcze podróż odbywać miał. Jeszcze jedno. — Znam dziewczynę — wskażą ci ją, ty nią nie wzgardzisz, że moją była — polecając ci ją umieram spokojnie. Tyś szlachetnym człkiem, a kobieta, która takiego znajdzie opiekuna, nie zazna troski. Czyżyje mój stary Adolf? jestże wolny?

Ferdynand. Ten rzeski starzec, który ci zawsze konno towarzyszył?

Egmont. Ten sam.

Ferdynand. Żyje i wolnym jest.

Egmont. On ci wskaże jej mieszkanie, pamiętaj mu do ostatka dni jego, iż ci wskazał drogę do tego skarbu. Bądź zdrów.

Ferdynand. Ja nie odejdę.

Egmont ku drzwiom go prowadząc. Bądź zdrów.

Ferdynand. O dozwól mi jeszcze...

Egmont. O przyjacielu — bez pożegnania odprowadza Ferdynanda ku drzwiom i wydziera się z objęć jego. Ferdynand jakby nieprzytomny szybko wychodzi.

Egmont sam. Nieprzyjazny człeku! Nie przeczuwałeś, jakie mi dobrodziejstwo wyświadczysz przysyłając mi syna swego. On mnie uwolnił od wszelkich trosk, bólów, bojaźni i wszelkiego uczucia trwogi, które ostatniej nocy zmuszały mnie do bezsennej czuwania. Jestem spokojny i swobodny, czuję, że natura swego ostatniego domaga się żołądu. Wszystko skończone! Pierzchły wszelkie troski z mej duszy a łagodny sen zamyka me powieki, kojąc rany zbolełego serca. Siada na łóżku — muzyka. Słodki śnie! Ty zniżasz się ku mnie jak niezmaczone szczęście, które nas wówczas najszczerzej ogarnia, gdy doń nie wdychamy, o nic się nie troszczymy. — Ty rozwiązujesz węzły ponurych myśli, kojarzysz w duszy echa smutku i radości, tak, iż swo-

bodnym prądem ogarnia piersi nasze błogie uczucie szczęścia, że otuleni swym całunem, zagłębiając się w nieskończone światy wyobraźni, tracimy poczucie doczesnego istnienia. Zасыpia przy towarzyszeniu muzyki. Poza jego łóżkiem otwiera się ściana i lśniąca postać Wolności w niebiańskim stroju jasnością otoczona spoczywa na obłoku. Rysy jej podobne do rysów Klary. Zniża się ku spiacemu bohaterowi i okazuje bolesne współczucie. Lecz wkrótce znika z jej twarzy wyraz smutku. Zacheęca go i wskazuje w dali pek strzał, później łaskę i kapelusz. Wzywa go do wesotości i zapowiadając mu, iż śmierć jego wolność ojezyźnie przyniesie, uznaje go zwyciężcą i laurem uwięcza. Gdy wieniec zbliża się ku jego skroni, porusza się Egmont we śnie i zwraca twarzą ku bogini wolności. Ona trzyma nad nim zawieszony wieniec — zdala dochodzi dźwięk muzyki wojennej, odgłos trąb i tarabanów, wśród czego postać znika. — Odgłos staje się coraz donioślejszy, Egmont przebudza się, powstaje, ogląda się — sięgając ręką ku skroni, gdzie poprzednio wieniec spoczywał. Znikł wieniec! Światło dzienne rozwiało cię, obrazie powabny! Co sercu memu najdroższego — złęczone okazało mi się w ostatniej chwili życia. Boska wolność mej lubej postać przybrała, uroczę to dziewczę oblekło się w niebiańską szatę. W tak ważnej chwili okazują mi się razem, z powagą bez uśmiechu wesółości. Obuwie jej krwią zbroczone, a powiewne fałdy jej sukni również krwi ślady na sobie miały. To była moja krew i krew wielu szlachetnych. Nie, nie napróżno przelaną została. Naprzód, dzielny narodzie! Bogini wolności tobie przewodzi! A jak morze zapory wasze łamie, tak złamiecie i zdruzgociecie wał despotyzmu — zepchniecie tyranię z granic kraju waszego, który wróg zuchwale sobie przywłaszcza, zanurzcie i zatopcie go! Odgłos tarabanów przybliża się.

Słyszę was, słyszę! Ileż razy odgłos ten wiódł mnie po woli mej na pole walki i zwycięstwa! Jak wesoło i ochoczo postępowali towarzysze moi na tej niebezpiecznej i chlubnej drodze. Również i z więzienia tego idę na pełną zaszczytu śmierć, umieram i poświęcam się za wolność, dla której żyłem, cierpiełem i walczyłem. W głębi stoją hiszpańscy żołnierze uzbrojeni w hełbary. Zgromadźcie ich w około mnie, szeregi ich przedemną rozwińcie, mnie trwogą nie przejmiecie, gdyż oswojonym ja z widokiem dzid, — w okół groźną otoczony śmiercią, silniej w mej piersi odczuwam me życie! Odgłos tarabanów. Narodzie mój! Ciebie zewsząd nieprzyjacieli otacza! Błyszczą miecze! Przyjaciele! odwagi! Za wami stoją wasi rodzice, żony, dzieci! Wskazując na straż. A tymi kieruje ślepy rozkaz władcy — nie ich własne uczucie. Brońcie ziemi waszej a ratując to, co dla was najdroższem, gińcie ochoczo za moim przykładem! Odgłos tarabanów. W chwili gdy Egmont zwracając się ku straży, zbliża się ku tylnym drzwiom zastona spada — a muzyka zwycięską symfonią konczy.



141. Urbański, *Za kulis i ze świata*. t. III.
 142. Słowacki, *Lilla Weneda*. Tragedya.
 143—145. Sarnecki, *Nowele*.
 146—147. Szekspir, *Juliusz Cezar*.
 148. Krasieki, *Bajki i przypowieści*.
 149—150. Schnür-Pepłowski, *Kościuszkowskie czasy*. Tomik I.
 151. Jokai, *Dzienne historyje*.
 152—153. Pailleron, *Świat nudów*. Kom.
 154—155. Holowiński, *Legendy*.
 156. Mickiewicz, *Grażyna*.
 157—158. Mantegazza, *Jak dożyć sędziwego wieku?*
 159—160. Schnür-Pepłowski, *Kościuszkowskie czasy*. Tomik II.
 161. Fredro, *Nikl mnie nie zna*. Kom.
 162. Krasieński, *Przedświt*.
 163—164. Goethe, *Torkwato Tasso*.
 165—166. Grabowski, *Trzy lata w Algierze*.
 167. Belza, *Maryla*.
 168. Słowacki, *Maryja Stuart*.
 169. Fredro, *Pan Benet*. Komedya.
 170—175. Kraszewski, *Powrót do gniazda*. Powieść.
 176. Schnür-Pepłowski, *Ojciec Bem*.
 177. Fredro, *Zręczność i Przekora*.
 178. Urbański, *Za kulis i ze świata*. t. IV.
 179. Klemensiewicz, *Z męczeńskiego żywota*. Nowele, szkice i opowiadania.
 180. Czech, *Klucze Piotrone*.
 181. Korzeniowski, *Narzęczone*. Komed. I.
 182. A. O. i Dr. Bebieki, *Iwonicz*, z 6 ilustr.
 183—184. Lermontow, *Bohater naszych czasów*. Romans.
 185. Słowacki, *Trzy poematy*.
 186. Niemcewicz, *Powrót posta*. Komed.
 187. Byron, *Ciaur*.
 188—190. Grabowski, *Alina*. Powieść.
 191. Syrokomla, *Scholne czasy*.
 192. Wężyk, *Okolice Krakowa*. Poemat.
 193—195. *Charakterystyki literackie*: I. J. Słowacki, przez M. Mazanowskiego. Wydanie drugie.
 196—198. Schiller, *Don Karlos*.
 199. Urbański, *Za kulis i ze świata*. t. V.
 200. Goszczyński, *Zamek kamioński*.
 201. Mickiewicz, *Ballady i romanse*. — *Sonet*.
 202—206. Ostaszewski-Barański, *Krwawy rok (1846)*. Opow. historyczne.
 207—209. *Charakterystyki literackie*: II. A. Mickiewicz, przez A. Mazanowskiego.
 210. Cyero, *Mowa za T. Amiuszem Milonem*.
 211—214. Łoziński, *Zaklęty dwór*. T. I.
 215—218. Łoziński, *Zaklęty dwór*. T. II.
 219—220. Molière, *Don Juan*.
 221—222. *Charakterystyki literackie*: II. Z. Krasieński przez M. Mazanowskiego.
 223. Krajewski, *Z nieczornych gawęd*.
 224. Urbański, *Za kulis i ze świata*. t. IV.
 225. Mickiewicz, *Księgi narodu Polskiego i pielgrzymstwa*.
 226. Fredro, *Wieki człowieka do mezych interesów*. Kom. w 5 aktach.
 227. *Charakterystyki literackie*: IV. A. Malczewski przez M. Mazanowskiego.
 228—232. Dante Alighieri, *Boska komedya*. Część I. Piekło.
 233. Mickiewicz, *Dziady*. Cz. I. II. i IV.
 234. *Charakterystyki literackie*: V. K. Ujejski przez A. Mazanowskiego.
 235—236. Mickiewicz, *Dziady*. Cz. III.
 237—238. *Charakterystyki literackie*: V. J. Koehanowski przez A. Mazanowskiego.
 239. Walewski, *Teatr i jego ofiary*.
 240. Puszkin, *Kaukazki jeniec*.
 241—248. Dr. Zipper, *Mitologia Greków i Rzymian*. Z 87 rycinami.
 249—251. Hans Oden, *Urzędowa żona*.
 252—253. Ibsen, *Rosmersholm*.
 254. Goethe, *Pandora*. Fragment aleg.
 255—260. Korzeniowski, *Emeryt*. Pow.
 261. Krasieński, *Psalm przyszłości*.
 262—265. Dante Alighieri, *Boska komedya*. Część II. Czystość.
 266. Goethe, *Egmont*. Tragedya.
 267. Syrokomla, *Zgon Aecerna*.
 268. Kazet, *Scherzo*. Zbiór wierszy t. I.
 269. Urbański, *Za kulis i ze świata*. t. VI.
 270. Fredro, *Odludki i Poeta*. Komedya.
 271—273. Chłodzko, *Obrazy litewskie*. III. Pamiętniki kwartarza.
 274. Słowacki, *Księża Niezłomny*.
 275—278. Dante Alighieri, *Boska komedya*. Część III. Raj.
 279. Kazet, *Scherzo*. Zbiór wierszy t. II.
 280. Walewski, *Góra Radziwiłł*.
 281. Goszczyński, *Sobólka*.
 282—283. Ibsen, *Dzika kaczka*.
 284. Kazet, *Scherzo*. Zbiór wierszy t. II.
 285. Krasiecki, *Monachomachia* i *Antimonachomachia*.
 286. Krasiecki, *Myszeis*.
 287—292. Dr. Kurpiel, *Podręcznik o dziejach literatury polskiej*.
 293. Pontmartin, *Margaryta d'Aurbonne*. Nowela.
 294. Słowacki, *Kordyan*.
 295. Słowacki, *Mazepa*.

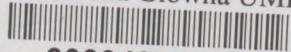
16. Szajnocha, *Szkie historyczne*.
 I. Barbara Radziwiłłówna.
 17—300. Waslewski, *Poezye*.
 1. Łoziński, *Opowiadania humoryst.*
 2. Sne, *Nowele*.
 3. Szajnocha, *Szkie historyczne*. II.
 Matka Jagiellonów. Brody krzyżackie.
 4. Tolstoj, *Polega ciemnoty*.
 5—309. Łoziński, *Czarny Matwij*.
 6. Szajnocha, *Szkie historyczne*.
 III. Jan Sobieski banita i pielgrzymem.
 Wnuka króla Jana III.
 1—312. Suderman, *Jan Chrzyciel*.
 3—315. Kuczewski, *Zaklęte usta*. Pow.
 6. *Charakterystyki literackie*. VII.
 A. hr. Fredro przez M. Mazanowskiego.
 7—318. Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*.
 9—320. *Tysiąc nocy i jedna*. t. I.
 21—323. Schiller, *Zbojcy*.
 24—326. Grabowski, *Brzydka dziewczyna*. Powieść.
 27. Słowacki, *Mindowe*.
 28. Herzl, *Przed pogonią*.
 29—332. Rojan, *Piękny Leoś*. Powieść.
 33. Szajnocha, *Szkie historyczne*. t. IV.
 Wojna o czeskie kobiety. Zwycięstwo r. 1675 pod Lwowem.
 34—337. Heine, *Romancero*.
 38—339. *Tysiąc nocy i jedna*. t. II.
 10—341. *Charakterystyki liter.*: VIII.
 I. Krasicki przez A. Mazanowskiego.
 12—343. Suderman, *Honor*. Utw. dram.
 14—345. Krasicki, *Satyry i Listy*.
 16—350. Łoziński, *Szaraczek i Kar-mazyjn*. Powieść.
 31—352. *Tysiąc nocy i jedna*. t. III.
 33. Ibsen, *W dniu smartychmstania*.
 34—359. Ostaszewski-Barański, *Rok żuźdeń (1848)*. Opow. histor.
 30—363. Dr. M. M., *Czy mówisz po angielsku?* Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka angielskiego.
 34—365. *Tysiąc nocy i jedna*. t. IV.
 36. Słowacki, *Jan Bielecki*. Hugo. *Mnich*. Arab.
 37—368. Heine, *Atta Troll*.
 39—370. *Tysiąc nocy i jedna*. t. V.
 71—373. Hofmanowa, *Pamięćka po dobrej matce* czyli Ostatnie jej rady.
 74. Ibsen, *Maty Eyołf*. Tragedya.
 75. Fredro, *Maś i żona*. Komedya.
 76—377. *Tysiąc nocy i jedna*. t. VI.
 78. Syrokomla, *Chaika w lesie*.
 79. Szajnocha, *Szkie historyczne*. t. V.
 Stanisław i Anna Oświecimowie. Próbką podan historycznych.
 380. Słowacki, *Anieli*. *Pisma polit.*:
 Do księcia A. C. — Do Emigracyi: O potrzebie idei. — Głos brata do Polaków.
 381—383. Tchórznička, *Rozmówki francuskie*. Dialogues français-polonais.
 384. Korzeniowski, *Stary kawaler*.
 385—386. *Tysiąc nocy i jedna*. t. VII.
 387—390. Hofmanowa, *Jan Kochanowski w Czarnolesie*, t. I.
 391—394. Hofmanowa, *Jan Kochanowski w Czarnolesie*. t. II.
 395. Schnitzler, *W matni*. Dramat.
 396—397. *Tysiąc nocy i jedna*. t. VIII.
 398—399. *Tysiąc nocy i jedna*. t. IX.
 400. Brodziński, *Wiesław*. Dodatek Oldyna i Czerniaków.
 401. Kochanowski, *Treny*. *Odprawy postów greckich*.
 402—403. *Tysiąc nocy i jedna*. t. X.
 404—408. P. B., *Czy mówisz po rusku?* Prakt. przew. do naucz. się pisać, czytać i mówić po rusku (małorusku).
 409—410. *Tysiąc nocy i jedna*. t. XI.
 411—412. *Tysiąc nocy i jedna*. t. XII.
 413. Czechow, *Zbiór nowel*. t. I.
 414. Goszczyński, *Król Zamczyska*.
 415—416. Pol, *Mohort*.
 417—418. Pol, *Pamiętniki Imci Pana Benedykta Winnickiego*.
 419—422. Pol, *Pieśni Jamusa*.
 423. Pol, *Pieśń o domu naszym*.
 424. Pol, *Pieśń o ziemi naszej*.
 425—427. Pol, *Wil Stmosz*.
 427—428. *Charakterystyki literack.*: IX.
 II. Sienkiewicz przez P. Chmielowskiego.
 429. Goethe *Herman i Dorota*.
 430. Pol, *Z wyprawy wiedeńskiej*.
 431—432. *Charakterystyki literack.*: X.
 Kazimierz Brodziński przez P. Chmielowskiego.
 433. Mickiewicz, *Konfederaci Barscy*.
 434—437. *Niech żyje!* Zbiór toastów i przemówień na wszystkie uroczystości.
 438. Syrokomla, *Margier*. Poemat.
 439. Urbański, *Pamiętaj o mnie!* Wiersze do albumów i pamiętników.
 440—443. Pol, *Pachoł hełmański*.
 444. Szajnocha, *Szkie historyczne*. VI.
 Stowianie w Andaluzji. Zdobyctwo pługa polskiego.
 445—446. *Charakterystyki literack.*: XI.
 Najnowsza poezya polska przez Dra M. Janika.
 447. *Wyprawa Igora na Połowców* Poemat słowiański.
 448. Korzeniowski, *Stary maś*. Komedya.
 449—450. Lessing, *Mina von Barnhelm* czyli Dola żołnierska.
 451—453. Heine, *Księga pieśni*.
 454. Feliński, *Barbara Radziwiłłówna*.
 455—456. Tolstoj, *Onocze osiwny*.
 457—458. Schiller, *Wilhelm Tell*.
 459—460. Słowacki, *Zmija — Lambro*.
 461—465. Suderman, *Kuma troška*.
 466—468. Gorkij, *Warężka Olesowa*.
 469—470. Rossowski, *Obrazki familijne*.
 471. Fredro, *Ciotnia*. Komedya.
 472—473. Goethe, *Cierpienia młodego Wertera*.
 474. Czechow, *Zbiór nowel*. t. II.
 475. Słowacki, *Król-Duch*.
 476—478. Krasicki, *Przypadki Mikolaja Doświadczyńskiego*.
 479—480. Ibsen, *Pani zamku Östrot*.
 481—483. Bolesławita, *Dziecie Starego miasta*.
 484. Korzeniowski, *Cyganie*.
 485—486. *Charakterystyki literackie*: XII.: Bohdan Zaleski przez Dra St. Zdziańskiego.
 487. Maupassant, *Nowele*. t. II.
 488. Zola, *Powódz — Lilli*. Nowele.
 489—496. Rzewurski, *Pamiętki JPana Seneryna Sołjicy*.
 497. Maupassant, *Nowele*. t. III.
 498. Zola, *Atak na młyn*. Nowela.
 499. Zola, *Jak ludzie umierają*. Nowele.
 500. Syrokomla, *Córa Piastów*. — *Stare Wrota*. Poemat.
 501. Zablacki, *Sarmatyzm*. Komedya.
 502—503. Pol, *Obrazy*. Opowiadania.
 504. Rossowski, *Zuzanna w kapieli*.
 505. Dramaty japońskie. I. *Takeda Izumo*, Terakoya. II. *Yamada Kakashi*, Asagao.
 506. Maeterlink, *Piękność wewnętrzna i Życie głebokie*.
 507—508. Witwicki, *Gadu-Gadu*.
 509. Yerga, *Rycerskość wieśniacza* (Cavalleria rusticana). Dramat.
 510. Webersfeld, *Katechizm dla teatrów amatorskich*.
 511. *Charakterystyki literackie*: XIII.: Jan Kasprowiec przez Adama Stodora.
 512—513. Gorkij, *W stepie*. Nowele.
 514. Krasinski, *Marya — Beatrice — Incomparabile Donna*. Poezye.
 515. Libański, *Monologi satyryczne*.
 516—517. Schiller, *Intyrga i miłość*.
 518. Czechow, *Mewa*. Dramat.
 519—520. Hauptmann, *Tkacze*. Dramat.
 521—523. *Charakterystyki literackie*: XIV.: Mikolaj Rej z Nagłowice przez Dra M. Janika.
 524. Rejko, *Zielnik*. Podręcznik dla zbierających rośliny.
 525. Björnson, *Ponad siły*.
 526—527. Ibsen, *Związek młodziecy*.
 528—530. Szajnocha, *Szkie historyczne*. VII.: Mścielci.
 531—533. *Charakterystyki literackie*. XV. Józef Ignacy Kraszewski przez M. Mazanowskiego.
 534. Zablacki, *Wrezy w zalotach*.
 535—540. Rościszewski, *Księga obyczajów towarzyskich*.
 541. Hebbel, *Marya Magdalena*.
 542—543. Kamiński, *Zabobon czyli Krakowiaczy i Górale*.
 544. Syrokomla, *Janko Cmentarnik — Kes chleba*.
 545. Maeterlinck, *Joyzella*.
 546—550. Rzewurski, *Listopad*. t. I.
 551—555. Rzewurski, *Listopad*. t. II.
 556—557. Heyermans, *Ogniwca*.
 558. Starkmann, *Monologi humorystyczne*. t. I.
 559—560. Kochanowski, *Pieśni księża czornoro*.
 561. Zieliński, *Kirgiz*. Powieść.
 562—563. Bergström, *Pincowarzy*.
 564. Starkmann, *Monologi humorystyczne*. t. II.
 565. Gorkij, *Wiezienie*.
 566. Hamsun, *Włóczęga*.
 567—570. Rościszewski, *Jak doskonał samego siebie?*
 571—573. Chodźko, *Obrazy litewskie*. IV. Brzoci Wilii.
 574—580. D'Annunzio, *Dziecko rozkosz*.
 581—586. E. L., *Czy mówisz po rosyjsku?* Говоримъ ли ты по-русски?
 587—592. Rościszewski, *Jak się bawi w towarzystwie?*
 593—600. Jadwiga T., *Co i jak gotować*.
 601. Baumbach, *Złatorog*.
 602—603. *Charakterystyki literackie*. XVI. Stanisław Wyspiański przez Mazanowskiego.
 604. Faudet, *Nowelle*. I.
 605. Andersen, *Książka z obrazkami bez obrazków*.
 606—610. Jokaj, *Złoty człowiek*. t. I.
 611—615. Jokaj, *Złoty człowiek*. t. II.
 616. Twain, *Humoreski*. I.
 617. Syrokomla, *Nocleg hetmański*.
 618—619. Słowacki, *Sen srebrny Salomei*.
 620. Poe, *Nowelle*. I.
 621. Orzeszkowa, *Meir Ezofowicz*.

- 622—626 *Charakterystyki literackie*: XVII. Literatura polska syberyjska przez Dra M. Janika.
24. Meudes, *Novelle*.
- 25—629. Bodzantowicz, *Boje Polskie i przygody żołnierskie*.
30. Zola, *Nantas*. Nowela.
- 31—652. Kotzenowski, *Wąsy i Peruka*. Komedya.
- 33—637. Orzeszkowa, *Marta*. Powieść.
- 38—640. *Lis Mykila*. Poemat nastawiany z wzoru niemieckiego.
41. Zola, *Radykał*. Nowela.
- 44—643. Ibsen, *Nora* czyli *Dom lalki*.
44. Czechow, *Zbiór Nowel t. III*.
- 45—646. Grabowski, *Z obczyzny*.
47. Słowacki, *Ksiądz Marek*.
- 48—650. Doyle, *Z przyciód Sherlocka Holmesa*. T. I. Przekład z angielskiego.
- 51—652. *Charakterystyki literackie*: XVIII. Seweryn Goszczyński przez M. Mazanowskiego.
- 53—658. Krasieki, *Pan Podstół*.
- 59—660. Du Prel, *Spirytyzm*.
61. Zola, *Fela w Coqueville*.
- 62—663. Mizerowicz, *Stelanka*.
- 64—665. Ibsen, *Hedda Gabler*.
66. Muzajos, *Hero i Leander*.
- 67—669. Szekspir, *Hamlet* Królewicz duński.
70. Fredro, *Doświadczenie*. Komedya.
- 71—672. Hebbel, *Judyta*. Tragedya.
- 73—677. Bojko, *Laćina w życiu codziennem*.
- 78—680. Szekspir, *Otello*.
- 81—684. Bolestawita, *Przed burzą*.
- 85—686. Ibsen, *Podpory społeczeństwa*.
- 87—694. Homer, *Odysseja*.
- 89—696. Musset, *Podwójna miłość*.
97. Wilde, *Obrazny sanolub i inne opowiadania*.
- 98—700. Doyle, *Z przyciód Sherlocka Holmesa*. T. II. Przekład z angielski.
- 91—702. Siemiński, *Pokirety literackie*. I. Obóz klasyków.
- 93—704. Zola, *Teresa Raquin*. Dramat.
95. Apulejusz, *Amor i Psyche*.
96. B., *Lawen Tennis*. Podręcznik dla grających.
- 97—708. Słowacki, *Beniowski*. Poemat.
- 99—710. Szekspir, *szuka Wenecki*.
1. Gorkij, *Poematy*.
- 2—713. Hoffmann, *Panna Scudery*. — *Kopalnie falunskie*.
- 4—715. Szekspir, *Makbet*.
- 716—720. Majerski, *Opis ziem dawnej Polski*.
721. Maupassant, *Horla*. Nowela.
- 722—723. Fogl, *Pielęgnowanie kwiatów i roślin w mieszkaniach*.
- 724—725. Herezeg, *Kwiat na bagniskach*.
- 726—727. Chodźko, *Podania litewskie*.
- 728—730. Szekspir, *Król Lear*. Tragedya.
- 731—736. Siemiński, *Wieczory pod lampą czyli Historja narodu Polskiego w 1848*.
737. Fredro, *Cudzoziemczyni*. Komedya.
738. Kotzenowski, *Majster i czeladnik*.
- 739—740. Libelt, *O miłości ojczyzny*.
741. Fredro, *Nocleg w Apeninach*.
- 742—743. Ibsen, *Jan Gabryel Borkman*.
744. Ksawery, *Sport saneczkowy*.
745. Syrokomla, *Harabia na Watorao*.
- 746—750. K. Z., *Co mam deklamować*.
- 751—752. Ibsen, *Budowniczy Solness*.
- 753—760. Pasek, *Pamiętniki*.
- 761—766. Sufczyński, *Zawsze oni t. I*.
- 767—772. Sufczyński, *Zawsze oni t. II*.
773. Wawoz, *Sławczo-Wojenoda*.
774. Zola, *Zgon Oliviera Becaille*.
775. B., *Sport piłki*.
- 776—779. Wieland, *Oberon*. Poemat.
780. D'Aureville, *Tajemnicze partycje wista (z cyklu „Les Diaboliques“)*.
781. Króliński, *Kusicielka*. Nowela.
- 782—784. Doyle, *Z przyciód Sherlocka Holmesa*. T. III. Przekład z angielskiego.
785. Słowacki, *Horsztyński*. Dramat.
786. Fredro, *Świeczka zgasła*. Komedya.
- 787—788. Gorkij, *Ostatni*. Dramat.
- 789—790. Heyermans, *Ghetto*. Dramat.
- 791—796. Jokai, *Kobieta z morskien oczyma*. Powieść.
797. Słowacki, *Beatryks Cenol*. Tragedya.
- 798—799. Jankowski, *W łożu maso-shiej*.
800. B., *Sport łyżwiarski*. Z 8 rycin.
801. Słowacki, *Złota Czaszka*.
- 802—803. Wergiliusz, *Georgiki*.
- 804—806. Kunciewicz, *Ustęp z „Gitli Govindy“*. Powieść.
- 807—808. Dickens, *Sekcie*.
- 809—810. Karjagin, *Konfucyzus*.
- 811—812. Byron, *Kain*.
- 813—814. Fredro, *Gwałt, co się dzieje*.
815. Słowacki, *Poema Piasta Danuś*.
816. *Bigos literacki*. Zbiór przystawek zagadek i żartów.
- 817—818. Gogol, *Revizor z Petersburga*.
- 819—820. Ibsen, *Kobieta morską*.
453. Heine, *Księga pieśni*.
454. Feliksi, *Barbara Radziwiłłówna*.
455. Tolstoj, *Owoce oświaty*.
456. Schiller, *Wilhelm Tell*.
- 459—460. Słowacki, *Zmija — Lambro*.
465. Sudermann, *Kuma troska*.
468. Gorkij, *Warenka Olesowa*.
470. Rossowski, *Obrazki familijne*.
- Fredro, *Ciotunia*. Komedya.
473. Goethe, *Cierpienia młodego Wertera*.
- Czechow, *Zbiór nowel t. II*.
- Słowacki, *Król-Duch*.
478. Krasieki, *Przypadki Mikolaja Doświadczyńskiego*.
480. Ibsen, *Pani zamku Östrot*.
- 481—483. Bolestawita, *Daćcieżi Starożytności*.
484. Kotzenowski, *Cyganie*.
- 485—486. *Charakterystyki literackie*: XIX. Bohdan Zaleski przez Dra St. Ziarskiego.
487. Maupassant, *Nowele t. II*.
488. Zola, *Poródz — Lilli*. Nowele.
- 489—496. Rzewuski, *Pamiętniki JPana Seweryna Soplicy*.
497. Maupassant, *Nowele t. III*.
498. Zola, *Atak na młyn*. Nowela.
499. Zola, *Jak ludzie umierają*. Nowela.
500. Syrokomla, *Córa Piastów*. — *Stare wrota*. Poemat.
501. Zabłocki, *Sarmatyzm*. Komedya.
- 502—503. Pol, *Obrazy*. Opowiadania.
504. Rossowski, *Zuzanna w kąpieli*.
505. Dramaty japońskie, I. *Takeda Izumono*, Terakoya. II. *Yamada Kakashi*, Irago.
506. Maeterlinck, *Pięknosc wewnętrzna*. Zycie głębokie.
- 507—508. Witwicki, *Gadu-Gadu*.
509. Verga, *Rycerskosć wieniacza* (Cavalleria rusticana). Dramat.
510. Webersfeld, *Katechizm dla teatrów amatorskich*.
511. *Charakterystyki literackie*: XIII. Jan Kasprówcz przez Adama Słodora.
- 512—513. Gorkij, *W stepie*. Nowele.
514. Krasinski, *Marya — Beatrice — Komparabile Donna*. Poezye.
515. Libanski, *Monologi satyryczne*.
516. Schiller, *Intryga i miłość*.
517. Czechow, *Mewa*. Dramat.
- 518—520. Hauptmann, *Tkacz*. Dramat.
- 521—523. *Charakterystyki literackie*: XIV. Mikołaj Rej z Nagłowice przez Dra M. Janika.
524. Bojko, *Zielni*. Podręcznik dla zbierających rośliny.
525. Björnson, *Ponad sity*.
- 526—527. Ibsen, *Wizazek młodzieży*.
- 528—530. Szajnecha, *Sekcie historyczne*. VII.: Mściel.
- 531—533. *Charakterystyki literackie*: XV. Józef Ignacy Kraszewski przez M. Mazanowskiego.
534. Zabłocki, *Firyki w zalotach*.
- 535—540. Rościszewski, *Księga obyczajów towarzyskich*.
541. Hebbel, *Marya Magdalena*.
- 542—543. Kamiński, *Zabobon czyli Krawcownicy i Górale*.
544. Syrokomla, *Jancko Omenarnik*. *Kęs chleba*.
545. Maeterlinck, *Joyzella*.
- 546—553. Rzewuski, *Listopad t. I*.
- 551—555. Rzewuski, *Listopad t. II*.
- 556—557. Heyermans, *Ognina*.
558. Starkmann, *Monologi humorystyczne t. I*.
- 559—560. Kochanowski, *Pieśni ksiąg czworo*.
561. Zieliński, *Kirgiz*. Powieść.
- 562—563. Bergström, *Piwonary*.
564. Starkman, *Monologi humorystyczne t. II*.
565. Gorkij, *Wieżenie*.
566. Hansun, *Włóczęga*.
- 567—570. Rościszewski, *Jak doskonale samego siebie*.
- 571—573. Chodźko, *Obrazy literackie*. IV. Brzezi Wilii.
- 574—580. D'Annunzio, *Dajcieżko rozkoszy*.
- 581—586. E. L., *Czy mówisz po rosyjsku?* Говорить ли ты по-русски?
- 587—592. Rościszewski, *Jak się bawio w towarzysztwie?*
- 593—600. Jadwiga T., *Co i jak gotować?*
601. Baumbach, *Złatorog*.
- 602—603. *Charakterystyki literackie*: XVI. Stanisław Wyspiański przez A. Mazanowskiego.
604. Daudet, *Novelle I*.
605. Andersen, *Książka z obrazkami bez obrazków*.
- 606—610. Jokaj, *Złoty człowiek t. I*.
- 611—615. Jokaj, *Złoty człowiek t. II*.
616. Twain, *Humoreski I*.
617. Syrokomla, *Nocleg hełmański*.
- 618—619. Słowacki, *Sen srebrny Salomei*.
620. Poe, *Novelle I*.
621. Orzeszkowa, *Meir Eofovcica*

- 622—626 *Charakterystyki literackie*: XVII. . Literatura polska syberyjska przez Dra M. Janika.
624. Mendes, *Novelle*.
- 625—629. Bodzantowicz, *Boje Polskie i przygody żołnierskie*.
630. Zola, *Nantas*. Nowela.
- 631—632. Korzeniowski, *Wąsy i Peruka*. Komedia.
- 633—637. Orzeszkowa, *Marta*. Powieść.
- 638—640. *Lis Mykita*. Poemat naśladowany z wzoru niemieckiego.
641. Zola, *Radykał*. Nowela.
- 642—643. Ibsen, *Nora* czyli *Dom lalki*.
644. Czechow, *Zbiór Nowel t. III*.
- 645—646. Grabowski, *Z obczyzny*.
647. Słowacki, *Ksiądz Marek*.
- 648—650. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa*. T. I. Przekład z angielskiego.
- 651—652. *Charakterystyki literackie*: XVIII Seweryn Gósczyński przez M. Mazanowskiego.
- 653—658. Krasieki, *Pan Podstoli*.
- 659—660. Du Prel, *Spirytyzm*.
661. Zola, *Feta w Coqueville*.
- 662—663. Zimorowicz, *Sielanki*.
- 664—665. Ibsen, *Hedda Gabler*.
666. Muzajos, *Hero i Leander*.
- 667—669. Szekspir, *Hamlet* Króliewicz duński.
670. Fredro, *Dożycocie*. Komedia.
- 671—672. Hebbel, *Judysta*. Tragedya.
- 673—677. Bojko, *Łacina w życiu codziennem*.
- 678—680. Szekspir, *Otello*.
- 681—684. Bolesławita, *Przed burzą*.
- 685—686. Ibsen, *Podpory społeczeństwa*.
- 687—694. Homer, *Odysseja*.
- 695—696. Musset, *Podwójna miłość*.
697. Wilde, *Obrzym samolub i inne opowiadania*.
- 698—700. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa*. T. II. Przekład z angielsk.
- 701—702. Siemiński, *Portrety literackie*. I. Obóz klasyków.
- 703—704. Zola, *Teresa Raquin*. Dramat.
705. Apulejusz, *Amor i Psyche*.
706. B., *Lawn Tennis*. Podręcznik dla graczy.
- 707—708. Słowacki, *Beniowski*. Poemat.
- 709—710. Szekspir, *Kupiec Wenecki*.
711. Gorkij, *Poematy*.
- 712—713. Hoffmann, *Panna Scudery*. — *Kopalnie faluńskie*.
- 714—715. Szekspir, *Makbet*.
- 716—720. Majerski, *Opis ziem dawnej Polski*.
721. Maupassant, *Horla*. Nowela.
- 722—723. Fogl, *Pielegnowanie kwiatów i roślin w mieszkaniach*.
- 724—725. Herczeg, *Kwiat na bagniskach*.
- 726—727. Chodźko, *Podania literackie* 81.
- 728—730. Szekspir, *Król Lir*. Tragedya.
- 731—736. Siemiński, *Wieczory pod Lipą czyli Historia narodu Polskiego*.
737. Fredro, *Cudzoziemczyni*. Komedia.
738. Korzeniowski, *Majster i czeladnik*.
- 739—740. Libelt, *O miłości ojczyzny*.
741. Fredro, *Nocleg w Apeninach*.
- 742—743. Ibsen, *Jan Gabriel Borkman*.
744. Ksawery, *Sport saneczkowy*.
745. Syrokomla, *Hrabia na Włorach*.
- 746—750. K. Z., *Co mam deklamować?*
- 751—752. Ibsen, *Budowniczy Solness*.
- 753—760. Pasek, *Pamiętniki*.
- 761—766. Sufczyński, *Zawsze oni t. I*.
- 767—772. Sufczyński, *Zawsze oni t. II*.
773. Wazow, *Stawczo-Wojewoda*.
774. Zola, *Zgon Oliviera Becaille*.
775. B., *Sport piłki*.
- 776—779. Wieland, *Oberon*. Poemat.
780. D'Aureville, *Tajennice partyjnisty* (z cyklu „*Les Diaboliques*“).
781. Króliński, *Kusicielka*. Nowela.
- 782—784. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa*. T. III. Przekład z angielsk.
785. Słowacki, *Horsztynski*. Dramat.
786. Fredro, *Świeczka zgasła*. Komedia.
- 787—788. Gorkij, *Ostatni*. Dramat.
- 789—790. Heyermans, *Ghetto*. Dramat.
- 791—796. Jokai, *Kobieta z morskimi oczyma*. Powieść.
797. Słowacki, *Beatryks Cenci*. Tragedya.
- 798—799. Jankowski, *W łożu masońskie*.
800. B., *Sport tyżniarski*. Z 8 rycin.
801. Słowacki, *Złota Czaszka*.
- 802—803. Wergiliusz, *Georgiki*.
- 804—806. Kucowicz, *Ustęp z „Gita-Govindy“*. Powieść.
- 807—808. Dickens, *Szkice*.
- 809—810. Karjagin, *Konfucyusz*.

Dalsze tomiki w druku.

Biblioteka Główna UMK



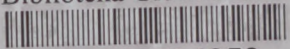
300048784859

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

22

1222454

Biblioteka Główna UMK



300048784859